

<http://rcin.org.pl>

1-33



TEGOŻ AUTORA

1. STRZĘPY EPOPEI. 1-e wyd. nakł. „*Ignis*“ wyczerpane, 2-e wyd. nakł. „*Raju*“. Zalecone przez M. S. Wojsk.
2. SZPITAL W CICHINICZACH. Nakł. „*Koju*“ zalecone przez Min. Oświaty i Min. Spr. Wojsk. Drugie wydanie.
3. W KOŚCIOŁACH MEKSYKU. Nakł. „*Raju*“. Drugie wydanie.
4. JAK KUBUSIA ŻABKI POZNAŁA. Opowiadanie dla najmłodszych dzieci. Nakładem „*Jssolineum*“.
5. O MAŁEJ MAŁGOSI, ŁAKOMEJ ŚWINECZCE, KRÓLICZKU, MUSZCE I O NIEGRZECZNYM PIESKU FUFCIKU. Opowiadanie dla najmłodszych dzieci. Nakładem Gebethnera i Wolffa.
6. SZCZENIĘCE LATA. Nakł. „*Raju*“.
7. OPIERZONA REWOLUCJA. Nakł. „*Raju*“.

Kościel Antoni

MELCHIOR WAŃKOWICZ

OPIERZONA
REWOLUCJA

Kościel

WARSZAWA — 1934

TOWARZYSTWO WYDAWNICZE „RÓJ”

Puławy

Solna 48

<http://rcin.org.pl>

kup. dnia 13/6.1941r.

Report pol

RYSUNKI: Czerniaka, Deni, Efimowa.

FOTOGRAFJE: Zelmy, Debabowa, Mikulinej, Prechnera,
Smirnowa, Kislowa, Panowa.

FOTOMONTAŻ: B. Klincza.

PRZERYWNIKI I WINIETY wzięte z wydawnictw so-
wieckich.

OKŁADKĘ rysował M. Berman.



110844

DRUKARNIA NARODOWA W KRAKOWIE

<http://rcin.org.pl>

Najskryciej wierzę, że stara Europa jest u początku końca. Jestem z nią związany i spełnię swój obowiązek. Nowa Europa dopiero pocznie się rodzić. Pomiędzy początkiem i końcem będzie trwał chaos.

METTERNICH

† 1859.

Weszliśmy w epokę Wojny Światowej. Epoka ta poczęła się w dziewiętnastym stuleciu i wciąż trwa. Oznacza to przechodzenie od świata państw osiemnastego wieku do *Imperium Mundi*. Odpowiada to dwóm straszliwym stuleciom pomiędzy Cannami i Actium, w ciągu których świat greckich państwerek zastąpiło *Imperium Romanum*.

OSWALD SPENGLER

Jahre der Entscheidung

1933 r.

ODJAZD TORPEDĄ
CZASU

<http://rcin.org.pl>



Jechałem do Rosji z dziwnem i pomieszaniem uczuciem.

Największy urok turystyki — to oderwanie się od dnia codziennego, to oderwanie się niejako od własnego życia i od samego siebie. Dlatego im bardziej kraj, w którym się znajdziemy, jest egzotyczny dla nas, czyli poprostu, mniej nam znany, tem mniej zaczepień znajdujemy o jego formy potoczne z naszym życiem codziennem, tem bardziej bezosobowo wypoczywamy.

Świat jednak staje się coraz bardziej na jedno kopyto i, niestety, nieraz jesteśmy podobni do owego naszego rodaka, co zakradłszy się z wielkiem ryzykiem do haremu, znalazł w nim żydówkę z Radomia.

Dlatego literatura stara się dać sztuczne ramy dla naszej wyobraźni, stwarzając fikcję przeniesienia człowieka współczesnego naprzód w warunki innej epoki. Albo wstecz — byle zupełnie daleko od tych problematów, które dręczą, na wekslu poczynając, na rozbrojeniu kończąc. Mark Twain kazał swemu Yankesowi przenieść się na dwór króla Artura dzięki zamroczeniu, Zambrzycki kazał się napić peyotlu, by jego bohaterowie znaleźli się w Cesarstwie Rzymskim, Słonimski dla swoich wynalazł jakąś torpedę czasu, pozwalającą im znaleźć się wpośrodku wojen napoleońskich.

Dla mnie taką torpedą czasu miało się okazać 610 złotych, wypłaconych „Inturistowi“ za prawo tygodniowego pobytu w Moskwie łącznie z biletami kolejowymi, hotelem, utrzymaniem, napiwkami i zwiedzaniem.

Bo przecież chociaż Sowdepja od naszego burżuazyjnego lądu oddzieliła się zaledwie przed siedemnastu laty, w ciągu tego krótkiego czasu wytworzyły się tam gatunki fauny

i flory niczem nie przypominające naszego bytowania. Myślę, że łatwiej bym się orjentował i znajdował wspólny język w jakimkolwiek zakątku starej Europy / przed stu czy nawet choćby dwustu laty, niż w tym kraju Marxistowskiej doktryny, komunistycznego eksperymentu i bolszewickiej praktyki.

Był to jakiś skok poprzez epokę, tembardziej emocjonujący, że nie wiadomo czy przez epokę wstecz, czy wprzód, czy może... poprostu w bok.

Czy można, w szesnaście lat po odzyskaniu niepodległości i w dziewiętnaście po opuszczeniu Polski przez Rosjan pisać szczerze? Jeśli można, to powiem, że ciekaw byłem Rosji jako czegoś bliskiego, czegoś, z czym wielki odłam narodu naszego ma związaną duszę.

Pamiętam wykłady geografji politycznej przed wojną w Krakowskiej Szkole Nauk Politycznych. Profesor wykrawał z tektury kontur Europy, przeciągał przez ziemie Polski,

pojętej w granicach 1772 r., nitkę, która szła przez środek Polski, i cała tektura zachowywała idealny balans, mając Gibraltar z jednej, linję Uralu z drugiej strony na jednym poziomie. Znaczyło to, że Polska znajduje się na granicy Wschodu i Zachodu, co zresztą stwierdzają przecinające się na jej terytorjum morskie i stepowe izobary, izogony, czy tam inne mądrości, przepołowiona fauna i flora etc.

Patrząc na tę wycinankę, konstatowałem, że moja Ihumeńszczyzna, aczkolwiek w granice 1772 r. ujęta, jest daleko, nader na wschód daleko od dzielącej osi. Że moja brama Dźwińsko-Dnieprowa, na której odbyło się 28 wielkich pobojowisk polsko-rosyjskich, nie jest zarosnięta bukiem, nie zna tchnienia Golfstromu, że jej ubogą sapowatą ziemię porasta brzezina gdzieś jak pod Kołomną czy Kaługą, że co zimę pokrywają ją głębokie kopne śniegi, w których płonie kolorowy wrzask baniaków cerkiewnych, tak barbarzyńskich na Mazowieckich piaseczkach, tak pełnych niewysłowionego wdzięku na ziemi naszej.

Po domach naszych kresowych wisiały portrety przodków-archimandrytów i ihumenów, gramoty przez naszych królów polskich po białorusku pisane, herby nasze miały krzyże, krzyże-strzały z unickimi czy zgoła prawosławnymi belkami poprzecznymi, wywodziliśmy się od protoplastów Wańków, Wołodźków, Hrehorów, Fiedorów.

Mniej znaleźliśmy żniw, niżli bitew lub polowań i mniej majowych nabożeństw przed słodkim obrazem włoskiej madonny, niż trwogi przed groźnym Bogiem, jawiącym się w piorunach nad puszciami i w ogniu bitewnym.

Nim carat był, my młodzi walczyliśmy o polskie szkoły, kończyliśmy polskie uniwersytety, ale stryjce nasi robili politykę „krajową“, jako że to niby są „tutejsi“, o polskiej jeno kulturze. Waliliśmy w to żubrowstwo, ale... zaręczwszy się, posłałem narzeczonej ikonkę Kazańskiej Bożej Matieri, aby ją zawiesiła nad łóżkiem. Ojciec na zesłaniu przez dziesięć lat na Sybirze przebył, ale gdy zmarł,

wszystkie cerkwie w okolicy żegnały go trezwonem.

Piszę to wszystkim nawspak. I rodakom (jurnym szlachcicom z różnych Wólek, łykom z miast, brachycefalom z wsiowych opłotków) i bolszewikom, którym śmierdzi wyraz Rosja, i emigrantom rosyjskim, którym śmierdzieć będzie moja książka. Piszę to ceniom przeszłości i przyszłości czarnej, nierozświetlonej, która jednak gdzieś tam w niewiadomych przedroświtowych przestrzeniach sokami nabrzmiwa.

Od tego dziedzictwa nie mogłem wyzwolić się, patrząc na Sowiecką Rosję. I z bolszewikami gadałem niełatwo. Dla nich to wszystko jest wzruszająco świeże. Jakże to przyjemnie, jak lekko być obywatelem kraju, który liczy sobie... siedemnaście lat.

Kiedy się spogląda jednak na to wszystko oczami polaka, polaka kresowego ponadto, nie można tych ludzi i ich pracy traktować tak beztrosko i ahistorycznie.

Jakżem to ostatni raz widział ciebie, Rosjo i jakie było nasze rozstanie? Wytężam wzrok w przeszłość i nic nie widzę. Szły fronty, fronty, przesuwania się, półokupacje, ćwierćokupacje, że człowiek bez pożegnania znalazł się nagle na polskiej ławicy, wyrzucony przez rewolucyjne odmęty.

Czy było to może wówczas, gdy siedziałem na dachu stacji telefonicznej na Morskiej w Petersburgu? Kule cmokały o cynkowy dach, z rękawów szyneli wyzierały sine w październikowym chłodzie ręce chorążych-dzieciaków, których za godzinę miano zrzucić z szóstego piętra na bruk.

Czy widziałem Ciebie w nowej postaci w koszarach Dierawińskich, gdzie dwa tysiące marynarzy żądało od naszej kompanji polskiej, liczącej czterdziestu żołnierzy, wydania broni? Mityng szedł przy świeczkach, bo elektrownia nie działała. Z ciemności wynurzały się młode opalone twarze, muskularne obnażone szyje i oczy naładowane wołazwycięstwa.

A może jednak to tam byłaś, Rosjo, kędy

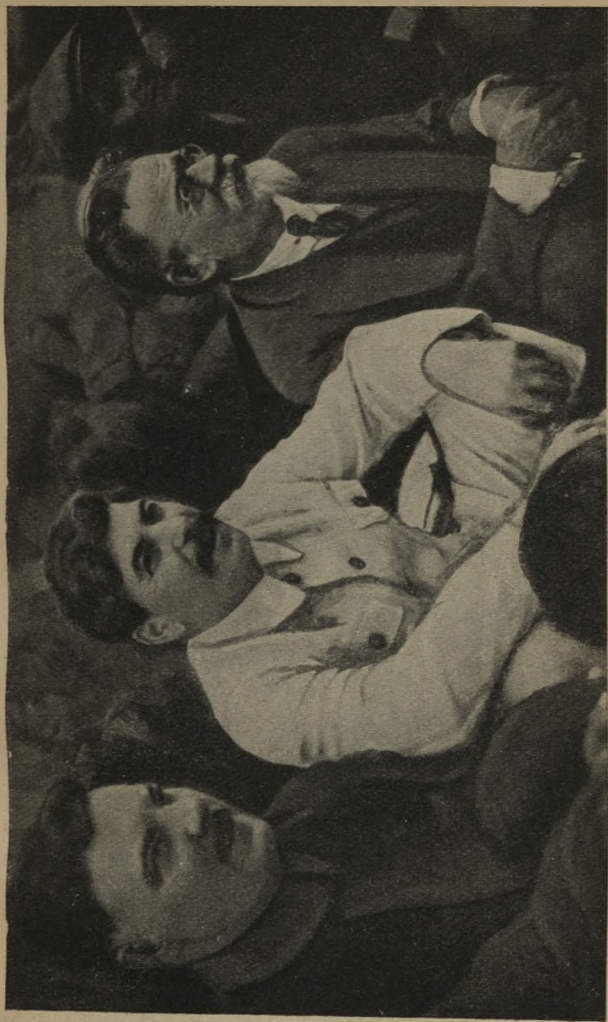
przed Pałacem Zimowym wyciągnął się ko-
biący bataljon śmierci?

Czy też z tymi marynarzami, co szli pod
kule pancerek Rządu Tymczasowego jak w ta-
niec, kładąc się trupem i wydzierając ze stalo-
wych pudeł ciepłe odwołki białogwardyjskich
oficerów?

A może po raz ostatni do mnie przemówiła
właściwa Rosja, kiedym opuszczał ją, wjeżdża-
jąc w obręb Ukrainy statkiem Dniestrowym?
Żydziak o bezczelnej twarzy rzucił, że „Car był
wielki podlec“, a stary wielmoża szedł ku nie-
mu na tabetycznych nogach, z siną z wściekło-
ści twarzą, z bełkotem słów nieartykułowa-
nych, aż zwałił się w ataku apoplektycznym
na zapluty słonecznikami pokład, do nóg uba-
wionej zajściem „publiczności“?

Nie, nie byłem w stanie odcyfrować
w swych wspomnieniach oblicza Rosji, która
pozostała za mną.

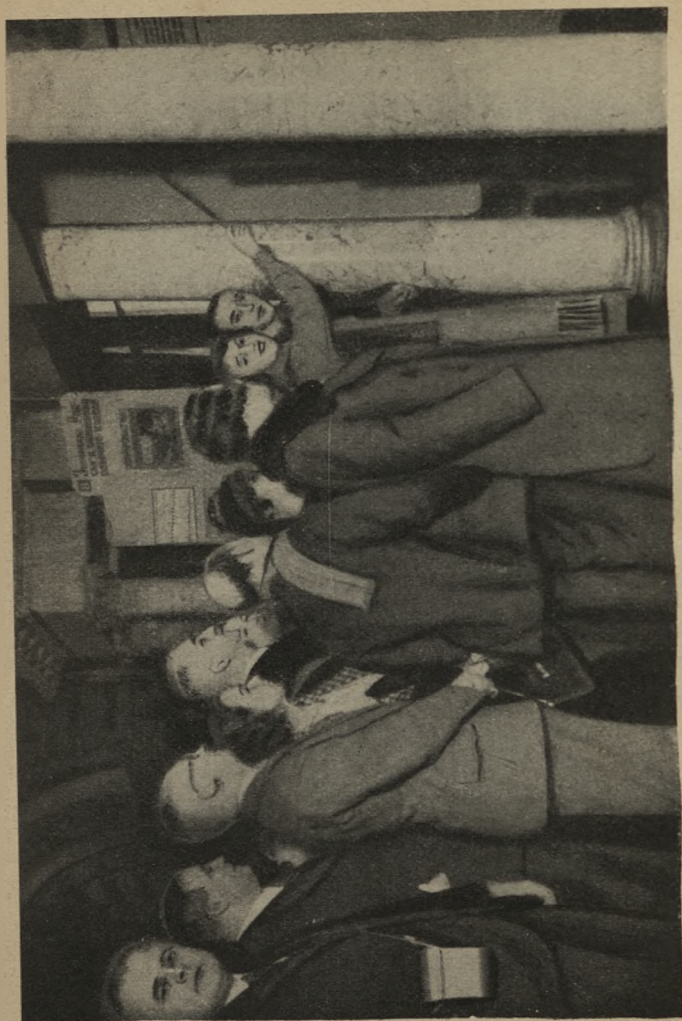
A potem znalazła się za głuchym murem.
Na wycieczkach prasowych stawaliśmy przy
słupach granicznych — z jednej strony grupa



WOROSZYŁOW, STALIN, KALININ

Oni nie mają więcej, niż partmaximum (str. 99)





Przewodniczka Ninoczka, ładna Azjateczka (str. 69)

inteligentów w ćwikierkach i z laseczkami, z drugiej ponurzy strażnicy w tatarskich „szłykach“.

Patrzyliśmy na siebie wzajemnie, jak się patrzy na ryby w akwarjum.

Kiedyś siadłem nad brzegiem Zbrucza. Przez nalane płynne srebro wody tylko sięgnąć — siedział na tamtym, sowieckim, brzegu stary chłop i łowił ryby na wędkę. Na ukos przez Dniestr połyskiwał bagnet rumuńskiej „siguranzy“. Za chłopem widać było mury Kamieńca, za rumuńskim żołnierzem Chocim, ja za sobą miałem... Okopy Świętej Trójcy. Na brzegu poza nami nie było nikogo. Gdyby nie koniki polne, stałaby pod tem rozpalonem niebem martwa cisza. Ale stary chłop nie śmiał odpowiedzieć na moje zwrócenie się.

Jaskółki zygzakami zszywały oba brzegi. Ale nie odważali się ze sobą mówić ludzie, siedzący na pęknięciu świata.

No, a teraz wreszcie pojechałem patrzeć. Pojechałem dla siebie. Bo i cóż można w sześć

dni zobaczyć. Byłem tylko w Moskwie i tylko przez sześć dni w grudniu 1933 r. Feljetony, które ta książeczka, wydana we wrześniu, zawiera, wydrukowałem w styczniu, książkowe więc wydanie mogło ukazać się zaraz potem. Ale nigdy o tem nie myślałem ze względu na niezmiernie skromny w czasie i przestrzeni za-sób spostrzeżeń.

Ponieważ jednak z rozmów ze znajomymi zauważyłem, że ich interesuje to co mówię o Rosji Sowieckiej, pomyślałem więc sobie, że może to również interesować i nieznanym. Nie mogę jednak nie przestrzec jak najusilniej na wstępie książeczki, że kupujący nabywa ją na własną odpowiedzialność, nie zaś na odpowiedzialność autora.



„ZIEMŁAK“

<http://rcin.org.pl>



Dwadzieścia pięć osób, które stanowiły wycieczkę „Ipsu“ do Sowietów, wzięły ze sobą nietylko wielki nadmiar ciepłych rzeczy, których nie potrzebowały używać; nietylko straszliwe zapasy jedzenia, które się bezużytecznie popsuło; nietylko poduszki i pledy, które nie znalazły zastosowania, i nietylko smokingi, które pozostały nieruszone w walizkach. Wzięły nadto bagaż piętnastoletni opowieści z tysiąca i jednej nocy o Czerezwyczajce, socjalizacji kobiet, bezmyślnych inwestycjach, szaleńczych dumpingach, przymusowej pracy, nędzy i głodach, niewolnictwie, ukrytych ce-

lach międzynarodowej mafji. Przechodziły lata, przynosiły korektywy, warstwę gadań o rękawiczkach zdzieranych z ludzkiej skóry pokrywała warstwa gadań o zepsutych traktorach, aliści zawsze z każdej z tych warstw coś zostawało i umysł zachodnio-europejczyka pozostawał nieprzemity po tych różnych cieczech, które różnemi czasy w niego wlewano. Wzięły nadto nawyk myślenia kategorjami demokratycznymi, burżuazyjnymi, liberalistycznymi, imperjalistycznymi, nacjonalistycznymi drobnomieszczańskimi, religijnymi, jak tam kto umiał i jak komu wypadło. Ten zbiorowy mózg człowieka schyłkowej kapitalistycznej epoki sunął teraz naszym wagonem w Sowiety niby w rozwarte wrzeczadze krematorjum; obiecywałem sobie, że przecież znajdę takie okienko z miki, przez które będę mógł obserwować proces rozkładu i spalania się.

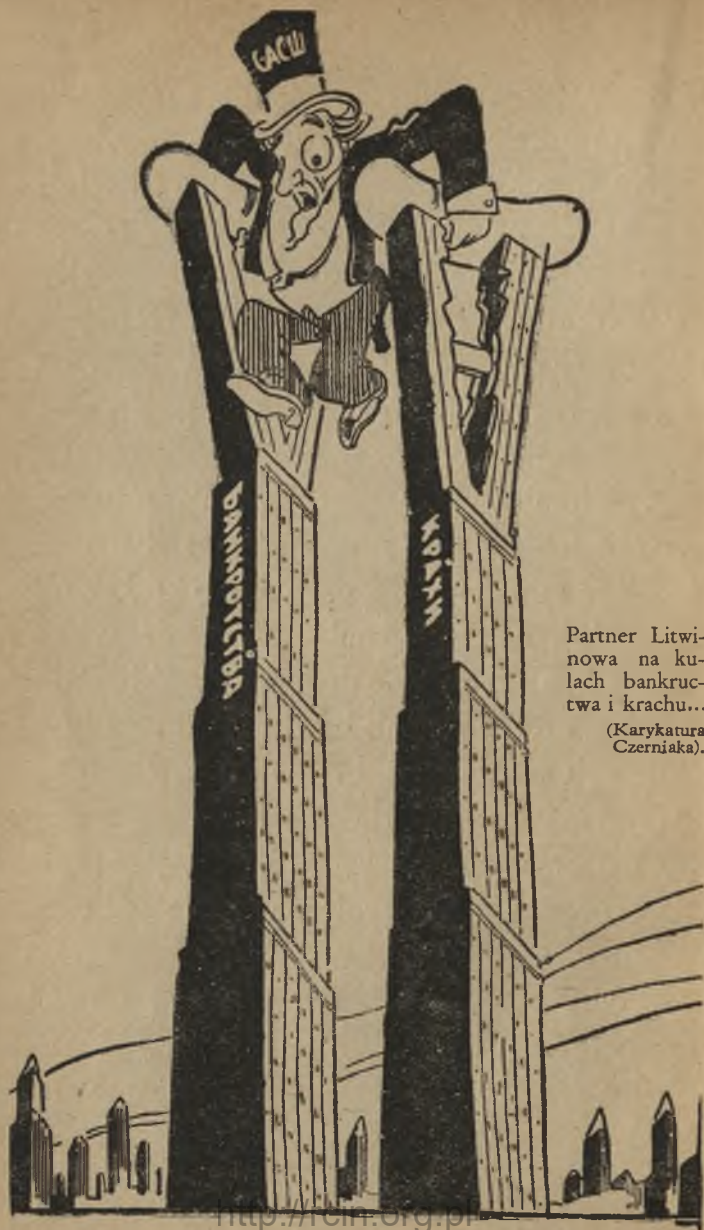
Pod oknem wagonu restauracyjnego siedzi sobie dobroduszny pan z brzuszkiem. To — Litwinow, wracający z pełnej sukcesów wycieczki do Stanów Zjednoczonych. Do Sta-

nów, które, według karykatur sowieckich, chodzą o kulach bankructwa i krachu.

Na wysokich wieżach nad bramą triumfalną, której napisy głoszą powitanie przybyłym Zachodu, stoją dwaj krasnoarmiejcy w spiczastych szłykach, które przypominają legendarnych „*bogatyriej*“ z rosyjskich „*bylin*“. Szłyki kryje pięcioramienna gwiazda — Joann Kalita adoptował Lenina.

Powitanie sobie, a oglądanie dachów wagonów sobie, a kłus zdyszany rowami wzdłuż pociągu i upatrywanie, czy coś lub ktoś się nie szmugluje między osiami — swoją drogą. To tak coś, jak te rewizje domowe u gości gubernatora, którzy właśnie bawili u niego na bankiecie. Oby tak nie było *à la lettre*. Słyszę przytłumioną dyskusję, czy lepiej zostawić w numerze walizki zamknięte, czy otwarte. Może to i lepiej czynić ułatwienia amfitrjonom?

Podczas gdy mi rewidują rzeczy na stacji w Niegorełoje, oglądam malowidła ścienne. Jedną całą ścianę pokrywa olbrzymia mapa



Partner Litwi-
nowa na ku-
lach bankruc-
twa i krachu...

(Karykatura
Czerniaka).

przemysłowa Rosji. Na mapie tej Besarabja jest uwidoczniiona jako część S. S. R. Na ścianie przeciwległej namalowano w ogromnej skali wzorowe gospodarstwo rolne i wielki zakład przemysłowy w biegu. W kącie sali ogromna bronzowa statua Lenina nadnaturalnej wielkości. Tę statuę będziemy odtąd mieli w oczach stale, narówni z cytatami z Lenina, wersetami z Lenina, transparentami o Leninie, nazwami, których źródłosłowem jest Lenin. Wiara swoista, kult dla człowieka, który już przestał być człowiekiem i aczkolwiek nie stał się Bogiem, to już się staje mitem, a jego dziesiątki tysięcy posągów bronzowych, uśmiechających się mongolską twarzą z „Lenińskich kącików“, przypominają posągi Buddy.

Kontemplację przerywa mi miła panienka-rewidentka, która mi każe: 1) wypełnić i podpisać formularz na posiadaną walutę; 2) na aparat; 3) na bagaż; 4) na jedzenie w restauracji.

Jak widać, św. Biurokracy Czerwony niewiele się różni od Białego. Rotisławow podaje

fakt historyczny, że w pewnej wsi, której wójt złożył spis ludności, ponieważ się spostrzeżono, że nie został w nim zamieszczony pewien starzec. W obawie kary, „schod“ postanowił uśmiercić starca, co też zrobiono — dla statystyki.

Chciałoby się za Norwidem powiedzieć:

*„To wiem tylko, że świat się zmienia,
„Wojen bronie i natarć szyki,
„Chorągwie ludów i natchnienia,
„A oni — zawsze czynownicy...“*

W restauracji hotelowej w Moskwie, w której gros gości stanowiła nasza wycieczka, obsługiwało czterdziestu ośmiu lokai z nienajlepszym skutkiem, na korytarzu naszego piętra ktoś naliczył osiemnaścioro „współpracowników“, Galerję Tretjakowską obsługuje 320 ludzi itd. Nie wiem, czy to rosyjskie niedbalstwo skutecznie się opiera wszelkim tam Tayloryzmom i Fordyzmom, czy też uprawianie typowo ro-



Uprawianie typowo rosyjskiego sportu.

(Karykatura Czerniaka).

syjskiego sportu — wyciągania rzepki w kilkonaścioro — jest to świadomy sposób walki z bezrobociem. Bo bezrobocia w tym kraju niema.

Teraz przechodzimy do restauracji, w której orkiestra gra „Poszła Jadziunia na rydze“. Jest to staroreżimna i sprośna piosenka, którą podtatusiali Podfilipscy lubili śpiewać u dobrej pamięci Stempka.

Nastrój robi się „*gemütlich*“. Restauracja jest dobrze zaopatrzona, a kawior tani, a papierosy za bezcen. Salka restauracyjna też nie żadna kubistyczna, ale w stylu, którybym nazwał „Powrót Taty“. Omalowana na olejno na ulubiony piernikowy kolor carskich dworców, z firaneczkami, z kotarkami, palmami pyłącymi się beznamiennie w zielonych kublach, z figurynkami, z bombonierami, przewiązanymi szykownymi wstęgami w zespole kolorów à la „*gienieralskaja docz*“, ze sztucznymi kwiatami, sterczącymi z całym zaufaniem nad stertami kanapek.

Muzyka gra teraz „Wieniec pieśni polskich“. Wjeżdżającym rekinom kapitalistycznym robi się rażno, jeden z nich zapomina się i omal nie woła na usługującego towarzysza per „*czelowiek*“. Zaczynamy żałować, że w tym kraju kawioru, koniaku, tanich papierosów i „wienca pieśni polskich“ będziemy tak krótko. Jakaś pani oznajmia, że ma dwadzieścia pięć sutek, więc będzie mogła jechać na Syberję. Towarzysz tłumaczy jej, że raczej ma

dwadzieścia pięć dób, bo tak należy tłómaczyć na polski termin rosyjskiej wizy.

Ale człek nie wyzbywa się podejrzliwości. Skoro wszędzie w Rosji jest taki raj, to pocóżby Litwinow kupował trzy pudełka demokratycznych szprotów? „Czy w Polsce jest drożej?” — pyta mnie. „A czy to nie są ceny reprezentacyjne?” — odpowiadam pytaniem na pytanie.

W kiosku z gazetami wita nas ulewa pism, broszur, książek, magazynów specjalnych. Są one powtykane w taśmę, napiętą na dwa bębny i w ten sposób defilują przed każdym z kupujących wszystkie. Pytam o radę, co mam kupić. Sprzedająca, typ zwykłej robotnicy w chusteczce, zawiązanej w dwa długie końce pod brodą, objaśnia mnie gruntownie, rzeczowo i życzliwie. Wybiera nietylko pisma, które charakteryzuje, ale wskazuje na ciekawy feljton Kolcowa, nadesłany do „Prawy” z Paryża. Ponieważ redaktor paryskiego „Wozroźdienia” — emigranckiego pisma rosyjskiego, niesłychanie ostro atakował

Herriota za jego pochlebne informacje o Rosji i powoływał się na pierwszorzędne informacje z Rosji, Kolcow sfabrykował list o przeraźliwie głupiej treści, w której jakaś rzekoma mieszkanka Ekaterynosławia pisze o haniebnych stosunkach aprowizacyjnych, o buntach przeciw instytucjom, które zostały zlikwidowane w Sowietach już przed dziesięciu laty i t. d. Owo głupstwo zostało solennie wydrukowane, jako „wstrząsający dokument“, poczem Kolcow w swojej korespondencji rozszyfrowuje, że wybrawszy co piątą literę, otrzymujemy zdanie: „Białobandycka hołota szkaluje Republikę Sowietów“.

Śmiejemy się razem ze sprzedawczynią z dobrego kawału. Rozmawiamy o komsomole. Oczy jej patrzą śmiało i uczciwie. Tak patrzą oczy całego młodego pokolenia S. S. R.

Do wagonu niosę w jednym ręku dwa kilo masła konserwowanego duńskiego jednej pani, w drugim całego indora drugiej, a w głowie chaos myśli o cenach, o szprotach Litwinowa, o „kwiatkach polskich“. I podczas, gdy uprzej-

my kapelmistrz gra nam na pożegnanie „*Adieux à la Patrie*“ Ogińskiego, uświadamiam sobie jasno, że rozmowa ze sprzedawczynią to jest pierwsza i niewątpliwa wartość, której zakwestjonować sobie nie dam.

W wozie sypialnym ucinam pogawędkę z konwojentem („*przewodnikiem*“), który okazuje się Mińczukiem z naszych stron. Mówię mu moje nazwisko. Jest to nazwisko dostatecznie znane w Mińszczyźnie, aby wywołać odpowiednią reakcję u Mińszczanina-proletariusza. I konwojent je zna. Skręca jednak spokojnie papierosa, wyszczerza się do mnie życzliwie i stwierdza z zadowoleniem: „*Znaczit, ziemiak budietie?*“ (a więc jesteśmy krajanie?).

W „Konarmji“ Babela jest scena, w której inteligent nie ma odwagi dostrześć przy odstępowaniu śmiertelnie rannego w brzuch kolegi, mimo jego próśb. Wyręcza go prosty kozak, który rzuca pod adresem inteligenta obraźliwe przekleństwo. I kiedy ten wlecze się za nim skruszony w pyle ukraińskiego skwaru,

kozak wydobywa pomarszczone ciepłe jabłko z za pazuchy i mówi: „Na!...” — Przyjąłem to jabłko — mówi Babel — jako znak rozgrzeszenia i pojednania.

Piętnaście lat temu po kasetonach dworu rąbały oszalałe siekiery, a park pokrył śnieg podartych książek biblioteki — w książkach moi krajanie szukali pieniędzy... A potem w ich chałupkach nasi ułani skradzionych przedmiotów.

Ale to było piętnaście lat temu. Wielki czas, jeszcze większa praca nad duszami ludzkimi, skoro ten człowiek tak daleko uszedł i od nawiści i od pokory.

Przyjąłem od niego to dobre słowo. Konwojuje pociąg aż do Władywostoku. Chciałbym być „ziemlakiem“ każdego człowieka, którego spotkam na swojej czternastodniowej drodze.



Wasilij Błazennyj — w którym zastygło łamanie się ludzkiego ducha... (str. 58)



Przed Mauzoleum Lenina

NA KAPITAŃSKIM
MOSTKU

<http://rcin.org.pl>



Minął pierwszy dzień. Mocne wrażenia na mieście. Mocny koniak wieczorem z ręki rodaków. Druga w nocy. Ale piszę, bo dziś wiem najlepiej, z każdym zaś dniem będę wiedział coraz gorzej. Zwykle zjawisko.

Piętnaście lat temu na dworzec Bałtycko-Białoruski, na który obecnie przyjechaliśmy, jechałem z dworca Petersburskiego... śmiesznym burżujskiem landem, które znalazło się na dworcu i wiozło nas triumfalnie przez ulice, którymi przebiegały rozgorączkowane oddziały czerwonej gwardji, ciągnące na wciąż jeszcze broniący się Kreml. Jechaliśmy z Piotrogradu, właśnie opanowanego przez bolszewików po trzydniowych bojach, w śnieżnej pościeli pustego sleepingu. Konwojent wagonu mówił nam „barin“, a nasze otwarte wspaniałe

lando na jakichś niesłychanie odsadzonych re-
sorach, lando, które żywcem jakby uciekło
z uroczystego *c o r t è g e* koronacyjnego, za-
trzymywano raz po raz, pytając o broń. Tak
mieszały się elementy rewolucji i starego re-
gimu. W landzie po za mną siedział profe-
sor uniwersytetu w mundurze oficerskim,
który ściał szlify i jechał bez czapki, trzęsąc
się, aby mimo to nie domyślano się w nim ofi-
cera; jechał spekulant, zestrachany i ciekawy
(dostał się potem do Polski, staczał się coraz
niżej i podobno został ścięty w Niemczech);
jechał wreszcie szlagon w mundurze Dowbor-
czyka, z lampasami amarantowemi, z aksel-
bantami, z orłem srebrnym na czapie — ten
znów dziedzic w cywilu, rozradowany był na
całe *spectaculum*, uważał widać, że rewolu-
cja to widowisko specjalnie zaaranżowane,
aby rozweselić jaśnie pana, i ryczał wielkim
i fałszywym basem nie zupełnie *à propos*:
„Antek Mańkę chwycił w pasie, a ta głupia u...
śmiała się“...

Tu oto, za łukiem triumfalnym, wypro-

szo wreszcie jadącą burżuazję z powozu, bo dalej stały armaty. Teraz stoi tu pomnik Lenina.¹ Jedziemy wygodnym autem „Inturista“. Inturist (inostrannyj turist), to jest taki rezerwat w S. S. R., w którym może hodować się silnowalutowa burżuazja. Chwilka tylko spotkania z tłumem na dworcu i już nas wcmoknął Inturistowski „Elektrolux“. W aucie jego czujemy się jak nurek we dzwonie. Za szybami po trotuarach płynie szara ciecz ludzka. Wszyscy w „walonkach“ (wysokie wojskowe buty). Kobiety też. Standartowe kłapouchy czapki z królików. Żadnej odmiany. Ścieśnieni w omkniętym autobusie inturyści wyczuwają za szybami inne ciśnienie.

Moskwa przed wojną była olbrzymią wsią. Ten charakter nosiło nawet śródmieście. Cóż innego stanowi nawet sam Kreml, jak architekturę drewnianego „teremu“, przetransponowanego na cegłę.

Teraz wśród tych szeroko i niefrasobliwie

¹ Ilustr. na str. 72.

rozrzuconych „osobniaków“, hojnie otoczonych ogrodami, wśród jedno i dwupiętrowych kamieniczek kupieckich w okropnym stylu jakichś fryzowanych ząbków w cegle, które jak kostromski cieśla z chałupy drewnianej przyniósł, tak murarz od Piotra Wielkiego po Mikołaja II w cegle klecił — od czasu do czasu dźwiga się jakiś Corbusierowski wymysł, strasząc ludzi galerjami szklanych chodników. Taki budowlany Magnitogorsk z konopi. Jakiś pomnik przybył z dziewicą lekko odzianą. Informują mię, że to statua swobody. Spoglądam z pewną podejrzliwością na dziewicę przez wychuchaną dziurkę w szybie.

W pewnem miejscu wywieszono dwie tablice — czarną i czerwoną. Na czarnej wpiśwane są złe dla S. S. R. wiadomości, na czerwonej dobre. Przypomina mi się wrzask przed tablicami na giełdzie paryskiej. I zaraz czuję, że wszystkie poprzednie złośliwostki, to nie ważne. Bo tu na tych tablicach potężna polityczna giełda świata znaczy idący bieg godzin.

Z retorty w retortę—wysypują nas do wielkiego hotelu, w którego drzwiach wita nas niskimi ukłonami wygalowany szwajcar.

Z chaosu waliz i kufrów wyławiają nas do odpowiednich numerów. Jedna tylko winda działa, druga nieczynna. Przypomina się oklepana anegdota o wypełnieniu z nadwyżką planu pięcioletniego przez zakład fabrykujący tabliczki z napisem: „winda nieczynna“.

Pokoje to istne muzea meblarskie różnych stylów i epok. Mój posiada głębokie fotele kryte skórą i olbrzymie biuro z superbronzami — jakaś pozostałość po bogatym kupcu. W innych pokojach mamy wspaniałe złożone empiry, szafy maurytańskie, zdobne inkrustacją z konchy perłowej i ze słoniowej kości, w innych znajdujemy meble o przepięknej intarsji w drzewie. Co numer — to jakaś serwantka, bristolka, recamierka, zegary nieidące, a niesłychanie ozdobne, dywany z każdej wsi inny, począwszy od persów, skończywszy na strzyżonych francuskich.

Tak, na wstępie pobytu, strzącha się na nas

bric à brac minionego burżuizjstwa. Obawiamy się, że już przez cały czas pobytu, płynąc wąskimi koleinami, wyżłobionymi dla inturystów, nie wydzwigniemy głowy po za ten sztuczny świat z jednej strony, po za specjalnie zaaranżowane pokazowości z drugiej.

Tedy chyłkiem, podczas gdy już wielki autokar „Inturista“ warczy przed hotelem, by wieźć nas na pierwszą „rundreisę“, wymykam się na ulicę, by złożyć wizytę Radkowi. Cieszę się prysnąwszy Inturistowi, jak dziecko na wycieczce, gdy chyłkiem wymknęło się bonie i samotnie zagłębia się w las. Oto koń nie może uciągnąć przeładowanych sań. Woźnica nie ma bata — to zabronione. Wspólnie z publicznością i z milicjantem pchamy sanie pod górę. „Ej ty, kapelusz, — wołają na mnie — mocniej tam poddawaj pary!“

Ten kapelusz zdradzał mnie wszędzie jako „wroga klasowego“. W tramwaju kiedyś posłyszałem prowadzony szeptem dialog:

— Wyraziście określony typ—mówiła kobieta.

— Jaki? — pytał jej towarzysz.

— Eksploatator!...



Radek — latający holender komunizmu.

(Karykatura Deni).

Radek — charakterystyczna, znana z tysięcy karykatur postaci (zarost marynarcki, faja, cyklistówka), latający holender komunizmu, więzień prezydenta Eberta, zesłaniec na Sybir w 1928 r. za Trockistowską herezję, w 1933 r. kierownik działu zagranicznego „Izwestij“ i nasz gość — ma w sobie to, co mają wszyscy ludzie więci na skrzydła wielkich zdarzeń, bez względu na to, pod jaką te zdarzenia pełnią się szerokością: ujmującą prostotę. Nie znałem go w Krakowie. Ale myślę, że nie inaczej wtedy dyskutował, jak teraz, kiedy biega od książki do książki. Bo pokój jego składa się z dwu elementów: dwie ściany szklane i dwie — idące w półki od góry do dołu. Z tych półek drze się gama wielojęzycznych głosów. Radek — to poliglota. Patrząc przez dwie szyby szklane w ściety dziób, wychodzące na ocean murów, w milczeniu i ciszy tego gabinetu wyraźnie słyszeć potężne tłoki myśli, które odbywają swą pracę na kartkach książek, natłok faktów i zdarzeń, które pędzą

przez katarakty tych wycinków, broszur, komunikatów.

Radek jednak w dymach swojej fai w anarchicznym kołnierzyku miękkiej koszuli, który nie uznaje żadnej „urawniłowki“ z krawatem, zda się mieć czas na każdą dyskusję akademicką, która właśnie teraz jest ważniejsza ponad wszystko. Wzruszająca świeżość umysłu, który wszak dawno winien był przekroczyć kresę zblazowania.

Ale kiedy wreszcie wstaję, aby pożegnać się z gospodarzem, z którym sądzonem mi było spotkać się jeszcze trzykrotnie (niestety, nie w charakterze dziennikarza, wobec czego nie czuję się w prawie o tych rozmowach pisać), pada wzrok mój na biurko, na którym widnieje lista czterdziestu adeptów, stających do egzaminu z japońskiego.

— Osiemdziesiąt procent moich zainteresowań obecnych, to Japonja — śmieje się pan, pochodzący z Tarnowa. I nagle fajka, fontaż i rozmowy o polskiej literaturze zamglają się. Zapada nagły zmierzch. W okna szklanego

dziobu bije biel śniegu. I zdaje mi się, że jestem na mostku kapitańskim jakiegoś „Małygina“, który w drzeniu motorów posuwa się het — może do Oceanu Spokojnego, a może... do Ziemi Nieznanej.



MILJON WOLT
„HOSPODI POMIŁUJ“

Opierzona rewolucja

<http://rcin.org.pl>



Czerwca dwudziestego, wołą Bożą, połowa miasta do cna zgorzała, a z pozostałej połowy pełzną karakony w pole i widać stąd, że być gniewowi Bożemu na tej połowie i przyjdzie tej połowie zgorzeć, co od starych ludzi jest konotowane. Skroś tego do Senatu Rządzącego wnoszę zali nie będzie rozkazaniem grodu mieszkańcom ruchła swe zabrać i pozostałą połowę spalić, by się bez spodziewania zapaliwszy nie jął ogniem dobytku.

*(Doniesienie do Senatu Kancelarji
Prońskiego Wojewody).*

Ciemno już było, kiedy powracałem od Radka. Znowu mijałem fabrykę, która krzyczała czerwienią plakatów o udziale we współ-

zawodnictwie socjalistycznym. Teraz okna parterowe jej były oświetlone i w szeregu małych pokoi (zapewne front mieścił biura fabryki) widać było uczące się grupki młodzieży po kilka osób. Uczący się — z reguły robotnicy. W czapkach. W kożuchach. Robotnice w chustkach na głowie. Szczęki wydatne. Łapy jak łopaty. Zła kreda po kiepsko malowanej tablicy wywodzi niezdarne rysunki. Jest skąpo światła i musi być zimno, bo wszyscy w kożuchach. Za tą oświetloną szybą trwa Mozól. Jakby kto drewnianą sochą bardzo głęboko odwalał skibę w gruncie kamienistym i zapuszczonym.

Razem ze mną przyplaszcza kartofelkowaty nos do szyby jakiś chłopaczyna.

— Co oni robią? — pytam.

Z dołu patrzą na mnie oczy dziecinne, ale śmiertelnie poważne. Zlekka schrypnięty głos odpowiada:

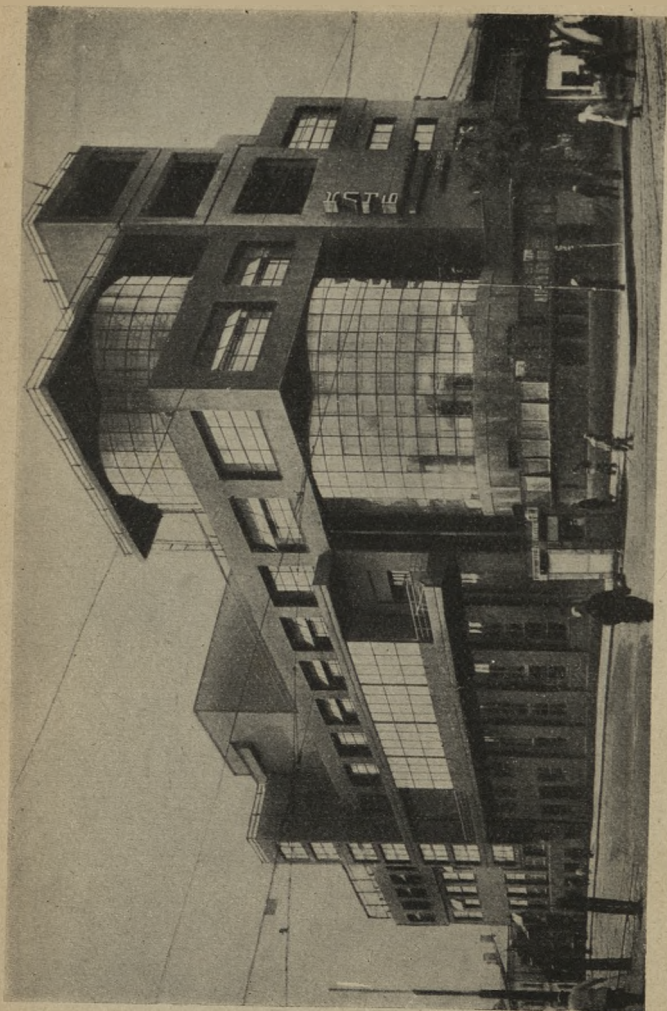
— Uczą się...

Słowo to wymawia z nabożeństwem, z jakim mali kilkunastoletni mężczyźni na-



Wśród ciesielskiej architektury wyskakuje z konopi... (str. 42)
(Budynek »Mosselprom«)

<http://rcin.org.pl>



Fot. I. N. Panow

Klub im. Zujewa

szej wsi, strzykając przez zęby i usiłując mówić basem, wymawiają słowa dotyczące obrządku rolnego. Przychodzi mi na myśl, że może w tym dziwnym kraju tworzącej się w swoistych formach kultury proletarjackiej, nauka wchodzi w krąg życia ludzi, jak praca, i że może małe chłopaki, u nas grubemi głosami wołający „następ się“ na konia, czem dokumentują udział w powadze życia, tutaj „wyzywają“ się w nauce?

— A ty chciałbyś się uczyć?

— Ja już się uczę.

Okazuje się, że matka jest konduktorką, ale już jeden brat oficerem w Orle, a siostra nauczycielką.

— A ty czem chcesz zostać?

— Robotnikiem. Monterem.

Za czasów mego dzieciństwa pamiętam zachwyty nad kazaniem naszego proboszcza, który napiętnował smutny fakt: po wsiach pojawiły się pierwsze kapelusze. Proboszcz grzmiał, nie bez racji, że wszyscy chcą być „Jaśnie Państwem“. Czy w kraju tym, gdzie

z dumą o sobie się mówi „jestem dziedziczny proletariusz“, wkrótce nie zaczną się karcieć ludzi, że każdy pcha się na robotnika? Pytanie to postawił przedemną teatr wieczorem, o czym w następnych feljetonach.

Z okna mego numeru widać rzekę Moskwę i Kreml za nią.¹ Olbrzymie mury, sięgające XIV wieku, biegną ogromnym półmilowym obwodem. Za nimi krzyk dzwonnicy i kopuł, orłów Romanowskich, które zostały nietknięte, cypli Granowitej i Orużejnej Pałaty, soborów Uspieńskiego, Błagowieszczeńskiego, Archangielskiego... Każda z tych nazw to pełny dźwięk wieków.

Przypominam sobie wiersz Pasternaka, poświęcony Kremlowi:

*W zmierzchu w Twe okno
Wdziera się wszystką miedzią dzwonnicy
Obawia się, widać, że czas wszak mija,
Że przeoczy i nie zaznajomi się.*

Wychodzę na ulicę. Oto już jestem na placu Czerwonym, którego nazwy nie potrzebo-

¹ Ilustr. na str. 71.

wała zmieniać rewolucja. Czerwienił się on przez stulecie nie tylko na „strach wragam“, jak chcą słowa cesarskiego hymnu, ale i własnych poddanych.

Epoka z epoką spina się punktami styczności. Czy nie jest takim punktem wspólna carom i bolszewikom nazwa — Krasnaja Płoszczad’?

Opieram się o zimny zrąb „Łobnego Miejsca“. To z niego Iwan Groźny patrzył, jak po przeciągniętej przez cały plac linii pomocnicy kata ciągnęli posadzoną okrakiem gołą młodą żonę bojara, aż zmarła z upływu krwi. To stąd Piotr Wielki patrzył na jednoczesną egzekucję trzystu strzelców.

Czytajmy, jak te wypadki oświetla ciekawy talent, bolszewicki pisarz Aleksy Tolstoj (powieść „Piotr Pierwyj“). I zrozumiemy, że na tym samym placu w rocznicę rewolucji odbywają się wielkie rewje Czerwonej Armji.

Wielką siłę wymowy ma przeszłość. Wiąże ona często logiczny wzrost życia mimo ludzkim chęciom i podejrzeniom. Nie lubią o tem

mówić wodzowie bolszewizmu. Nie lubią słowa Rosja. Istnieje tylko S. S. R. Ale cóż dziwnego, że tamto słowo nie przestaje istnieć dla polskiego sąsiada.

Czy komsomoł to nie jest płomienny patriotyzm wielkiego państwa? Czy obecny komсомолец, kiedy w przyszłej wielkiej Rosji, Rosji, mającej już dłuższy dech, silnej i zabudowanej i zasobnej, zostanie narkomfinem (ministrem skarbu), nie będzie wołał asygnować kredytów na jakiś nowy Turksib, niż na międzynarodową rewolucję?

Ty, Wasilij Błażennyj, najdziwniejszy z chramów świata, odpowiedz, skoro ludzie odpowiadać nie chcą. Wyskoczyłeś przed kremłowskie mury na Plac Czerwony, wyskoczyłeś z czeredy zamurowanych kremłowskich soborów, niby arlekin kolorowy. A skądżeś się wziął, cudaku niesamowity, w baszty i wieżyczki, kopułki, pilasterki strojny? Iluż to głowami baniaków chwiejesz nad „łobnem“ miejscem, jurodiwyj soborze jurodiwych dziejów? Masz banie, jak ananasy, i jak skręcone podu-

chy, i jak lukrowane torty, i jak wzdęte pierzyny. Wieżyce masz gotyckie, łuki romańskie, dzwonnice bizantyńskie, carosławne, straszne, a pilastry maurytańskie, z nagłą rustykowane. Przysiadłeś ciężko ku ziemi, ścian niemal nie masz, wewnątrz twoje, to dziewięć ciemnych niskich klitek, o wysokich progach na różnych poziomach, w których czołga się robactwo ludzkie. Rosną od korzenia Twoje baniaki przypłaszczone, strwożone, „Hospodi Pomiłuj!“

Czy to jednak nie za te hymny do Boga, a nie do carskiej rzeczywistości, czy nie za hymny do wolności postradał wzrok genialny budowniczy? I czy jeden człowiek był coś podobnego w stanie wyśnić i wytworzyć? Chram musiał narastać wiekami.

Niepokojący jest mieszaniec bizantyjski — sobór w Budapeszcie. Ale ma swój dominujący styl — groźnego Bizantyjskiego Boga. Wenecki Św. Marek, to Bizantyjczyk, któremu raz na zawsze wytłumaczono, że groźne widziadła, to wytwór halucynacji; odtąd grzecz-

nie adoptował oklaskujących grę na organie turystów i chmary gołębi.

Wasilij Błażennyj — to nie spekulowana niesamowitość Barcelońskiej „Sagrada Familia“ — to jedyny chram, jaki znam, w którym zastygła straszna męka ludzka i łamanie się ludzkiego ducha.

Nie, nie tak daleko zapewne odejdzie bolszewizm od ducha tego kraju, jak się może wydawać. Zawsze ten Kreml był więcej krasny niż biały i nic przemalowywanie wspomnień o nim na ten biały kolor nie pomoże. Aby dać tło Mauzoleum Lenina, dźwigniętemu w czerwonym granicie, odwieczne mury Kremlu z naturalnej czerwonej cegły potynkowano na biało.

Przed tem Mauzoleum stoi teraz długi, kilkakroć wygięty cgon wyczekujących ludzi. Nagle zegar na baszcie Kremłowskiej pod ogromnym złoconym carskim orłem bije piątą i Mauzoleum rozświetla się szklaną kopułą. Tłum drgnął. Dźwięk z pod dwugłowego orła oznacza, że zbliża się chwila adoracji „żywych moszczy“ rewolucji rosyjskiej.

Tłum, wśród którego stoję, posuwając się wraz z nim powoli, jest złożony z przybyszów z prowincji. Każde środowisko ma swoje pielgrzymki „ad limina Apostolorum“, każdy kraj ma swoją Mekkę. Do Mauzoleum Lenina ucieka nawet mały murzynek, uciskany przez białych w Afryce, razem ze śmieszną małpęczką, co pięknie zagrane widziałem w Moskiewskim Teatrze dla dzieci. Cóż dziwnego, że garną się do niego dzikozwierze napół uczłowieczone z krain, gdzie palma rośnie i z krain Białego niedźwiedzia — z terytorjum całej Rosji? Koło mnie stoją olbrzymy mongolskie w śmierdzących kozuchach. Tłum milczy. Śnieg skrzy się. U wejścia stoją zamarli w bezruchu żołnierze Czerwonej armji.

Jeśli porównać *e n t o u r a g e* z grobowcem Napoleona w Paryżu, to można powiedzieć, że tamten nastrój wytworzył styl empire, a ten tutaj wybudowany został przez swoisty styl rewolucji. Schodzi się w dół do krypty. Ciało Lenina spoczywa w oszklonym kiosku. Przykryte jest czerwonym sztandarem. Na tej czer-

wieni leży pergaminowa ręka wodza. Twarz jego nieogolona, pokryta rudą szczeciną zarostu (nie uświadamiałem sobie, że Lenin był rudy). Twarz, która z portretów wydaje się nam toporną twarzą chłopca o mongolskiej domieszce, w istocie rzeczy jest twarzą subtelnego intelektualisty. Linje nosa, ust — wąskie i subtelne. Nad wszystkim jednak zwisa chamska potworna kopuła czaszki, nabrzmiała, jak odwłok pszczoły-matki.

Posuwamy się zwolna, ale przestaję widzieć twarze tłumu, natchnione twarze młodych chłopaków-krasnoarmiejców, którzy stoją, przywarci do swych ostrych bagnetów rosyjskich tuż przy wezglowiu i u nóg wodza i zdają się płynąć w ekstatycznym przeżywaniu swojej największej chwili życia. Widzę tylko tę czaszkę, niby potworny agregat jakiejś maszyny o milionach wolt. Wychodzę na Czerwony plac. Rozdzwania się zegar pod dwugłowym orłem. Jest szósta.

OPIERZONA
REWOLUCJA

(W MUZEUM REWOLUCJI)



Słyszę, dzwoni głos
Spod trumiennych wiek,
Że na kościach ich
Twardy granit legł.
I dlatego to,
Oblegając gród,
Nocą równa front
Kościotrupów lud

.
.
.
.

„Myśmy cary! My!
Woła z trupem trup:
Będiesz, Piotrze, miał,
Kiedy legniesz w grób!
Przypomnimy ci,
Ile twoich win!
Obedrzemy cię,
Boś był sukinsyn.

Słysz, gołos mnie
Po noczam zwienit,
Czto na ich kostiach
Lioğ tugoj granit.
Ottoho podczas,
Obstupaja grad,
Miertwiecy wstajut
W strojewod parad.
I kriczat oni,
I wopiat oni —
Od takoj kriczni
Zagaszaj ogni.
Goworiat słowa:
— My wsiemu cari!
Popadioszsia, Piotr,
Lisz sumiej, pomri.
My sdieriom z tiebia
Tvoj lichoj czupryn,
Potomu, czto ty
Był sobaczij syn.

Za nasz krwawy pot,
Za nasz ciężki trud
Jaśniepanom żeś
Wybudował gród.
Lecz niech za to wie
Każdy w mieście dom,
Że wrócimy tu
Pomścić krzywdę swą.
Bo ten gród jest nasz,
Z naszej męki gród,
Pierwszy będzie w nim
Pracujący lud!

Tedy umilkł car
Aleksiewicz Piotr,
Strumieniami żeń
Zimny spływa pot.

Pobłażał ty znat
So ministrami,
Na krwi dla nich
Gorod wystroił.
No puskaż za to
Znajet każdyj dom —
My pridiom jeszcze,
My pridiom, pridiom!
Eto gorod nasz,
Potomu i tut
Tolko mozet żit
Lisz raboczij lud.

Smołk nasz car,
Aleksieicz Piotr,
W tri ruczja s nieho
Pot chołodnyj ljot.

*Siergiej Jesienin*¹
„Pieśń o wielikim pochodzie“.

Historyk rosyjski Kostomarow podaje, że znał stuletniego chłopca, uczestnika buntu Pugaczowa. Bunt ten, jak wiadomo, był jednym z licznych buntów chłopskich, idących nieprzerwanym ciągiem od słynnej rebelji Stieńki Razina.

Stary chłop upewniał Kostomarowa, że

¹ Tłumaczenie tego ustępu zawdzięczam uprzejmości Juliana Tuwima.

Stieńka i Pugaczow byli jedną osobą. Stieńka, rzekomo, bytuje zaklęty w Nadwołżańską skałę i od czasu do czasu wciela się w nowego wyzwoliciela.

Ten swoisty mistycyzm rewolucyjny mas znalazł wyraz w powiedzeniu Pugaczowa: „Ja jestem pisklę krucze, mnie mogą zniszczyć; ale kruk prawdziwy — ten jeszcze buja w powietrzu“.

Minęły lata. Pisklę rewolucji zginęło na szafocie. Ginęły po niem długie ich szeregi. Kruk...

...luksusowe auto Inturista zajeżdża przed wspaniałymi gmach Muzeum Rewolucji, którego strzegą rzeźbione lwy. To kondotjerskie zwierzę strzeże zawsze tych, którzy mają władzę. Tłum eleganckich panów (zważmy, że to Moskwa) wysypuje się z auta. Jeszcze chwilka! Pod majestatycznymi kolumnami frontonu mamy się zatrzymać. Zręczny, wszędobylski fotograf „Inturista“ obskakuje nas z leiką.

Z boku ukazuje się grupa chłopów. Jakaś wycieczka zwiedza Moskwę. Sam fotografuję

naszą wycieczkę, więc mam chłopów tuż za sobą. Najstarszy z nich w czemś w rodzaju łapci na nogach, w kozuszyńce wytartej, gapi się na lwy, na portyk, na leikę, na eleganckich panów:

„Nu, bratcy, razziłaś, znaczit, rewolucja“.¹

Wejdźmy do wnętrza zobaczyć, jakże to porastały w pierze krucze pisklęta.

Ten szmat sal, jakieśmy przeszli — to niby wspaniały epos, rozwijający się według wszelkich reguł sztuki literackiej.

Introdukcja: dwa olbrzymie obrazy w hallu klatki schodowej, obrazujące kaźń Stieńki Razina i kaźń Pugaczowa. Czerń i purpura, cienie i światło, bojarzy i lud, prawda i nieprawda. Jak gęśle, które rozpoczynają opowiadanie.

A potem epos. Długie tunele śnieżne w kopnych drogach. Chaty zgarbione, zmurszałe. Polowania pańskie. Nagonki. Oddawanie w sołdaty. Akty kupcze na ludzi. Ogłoszenia

¹ „Rewolucja porosła w pierze“.

o sprzedaży powozu i młodej dziewczyny, której talenty gospodarskie są wymienione.

Przewodniczka nasza, towarzyszka Nina, ładna azjateczka o zadartym nosku,¹ obawia się, że nas wymienione kwalifikacje uspokoją co do losu sprzedawanej.

„Może z niej nabywca zrobić służącą, ale może i kochankę“, mówi z powagą, z jaką dzieci recytują ustęp w „Czerwonym Kapturku“, kiedy wilk mówi babci „a teraz Ciebie zjem“!

Stara się towarzyszka Ninoczka, jak może, poruszyć czerstwe serca burżujów. Pokazuje harapy, któremi tłuczono pańszczyźnianych chłopów, obraz przedstawiający chłopkę pańszczyźnianą, wykształconą na aktorkę, której pan kazał karmić szczenię własną piersią. Aktorka jest przykuta łańcuchem do ściany, karmi szczenię i spogląda na swe płaczące głodne dziecko, do którego sięgnąć nie może.

Oglądam krwawą pracę robotników Uralu, o którym pisał Stande:

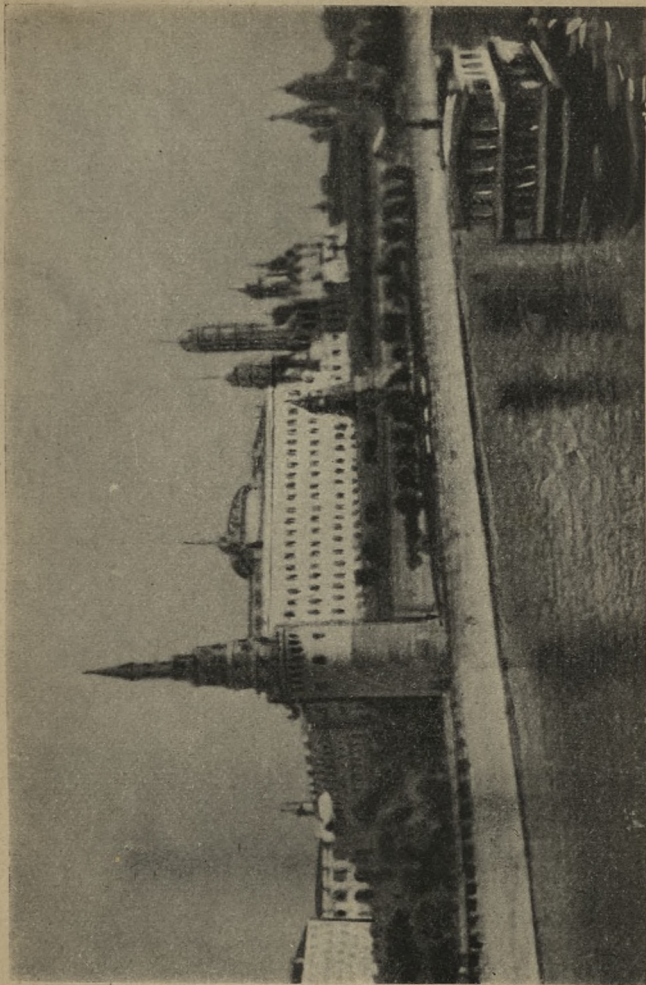
¹ Ilustr. str. 18.

Na twoich osiach Rosja jeździła,
strzelała bronią z Uralskiej stali,
twój był pług, młot, siekiera i piła,
twojem żelazem kuli, rąbali.

Krzyże na piersiach z Uralskiej miedzi,
na twoich patelniach smażą się bliny,
tylko sam Ural w głodzie i biedzie,
tylko sam Ural głuchy i siny.

Na drzewnem paliwie żelazo się rodzi,
bez maszyn — mięsień zwisa jak włosie,
pięć kopiejek za szesnaście godzin,
przyjdiesz z koniem — dostaniesz osiem.

I w tej szarości i beznadziei, w beznamiętnej opowieści eposu, znowu inwokacja: szkarłatna plama buntu Dekabrystów na początku zeszłego stulecia. Sztandary, sztandary... Plac przed Carskim pałacem... Czapy grenadierów... „Niech żyje car Konstanty i jego żona, Konstytucja“... A na południu wytyczona marszruta zbuntowanych oddziałów Rylejewa („...Szlachetna szyja Rylejewa, którą-m jak bratnią ścisnął, carskimi wyroki wisi do hańbiącego przywiązana drzewa...“) od Chwastowa po Wasylków.



Z okna mego numeru widać rzekę Moskwę i Kreml za nią (str. 56)



... stały armaty. Teraz stoi tu pomnik Lenina (str. 41)



Mauzoleum Lenina między murami Kremlu i cerkwią Wasilija
Błażennego (str. 60)

Byłem w tym czernoziomnym Wasylkowie za carskich czasów przez parę tygodni. Mieszkałem w hotelu madame Wól. Ta pani Wól była kroniką powiatu i miała świetną kuchnię. Pytałem ją o dzieje dekabrystów w Wasylkowie. „Tak, było takie coś“, mówiła, stawiając na stole tłustą soliankę z jesiotra. — „Było, da spłyło“... — żartował isprawnik, żegnając się przed kieliszkiem wódki. Musiałem karmić to bractwo, bo szło o przepuszczenie przez Wasylków dwudziestu tysięcy naszych wygnańców, których zrewolucjonizowaliśmy nielegalnie na roboty rolne na południe z Czernichowskiego traktu, wiodącego na Sybir.

Ale „nie spłyło...“

Po ścianach Muzeum Rewolucji pokazywać się poczynają świstki protokołów na partyjnych zjazdach. Oto model domku drewnianego w Mińsku, w którym nakryty został pierwszy zjazd. Oto świstki protokołów posiedzenia partji w Charkowie, pisane ołówkiem „Za uchwałą pięć głosów, przeciw uchwale

trzy...“ I zawsze jacyś wstrzymujący się i zawsze jakieś wota separata.

Śmieszna, nieszkodliwa zabawa manjaków w stusześcdziesięciomiljonowym Państwie.

Zabawa, z której wyrosła Linja Generalna Kompartji, która reguluje losy szóstej części globu i niepokoi pozostałe pięć szóstych.

— Skąd przyszło konspiratorom, teoretykom, marzycielom, doktrynerom i gołosztanikom — pytałem Radka, — do traktoru, do elektryfikacji, do Dnieprostrojów i Magnitogorsków?

— Prawda? — śmieje się Radek. — Kiedy mi zaproponowano po Brzeskim traktacie przeprowadzenie dużych prac likwidacyjnych, zażądałem tak małych pieniędzy, że Lenin się roześmiał: „Radek nigdy w kupie nie widział 100 rubli i nie może sobie wyobrazić, że mogą być większe pieniądze“.

Wśród tych to różnych strumyczków rewolucyjnej wody, które przebijały się ku Oceanowi Rewolucji, w pewnym miejscu wisi gabłota, poświęcona sprawie brata Lenina, powieszona

nego za przygotowywanie zamachu na cara. X
Natykam się przy tej gablocie ponownie na
towarzyszkę Ninę i wyjaśniam jej ze złośliwą
satysfakcją, że za tę sprawę Józef Piłsudski
był zesłany na pięć lat, a brat jego, Bronisław,
na piętnaście.

Ninoczka, która dzień w dzień pokazuje
w oddziale „wojna z polskimi panami“ białogwardzistę Piłsudskiego, z wąsiskami szlacheckimi, na których, zda się, chciałby wywieszać wszystkich najładniejszych poruczników czerwonej armji z Ninoczką na dodatek — przyjmuje moje oświadczenie z grzecznem osłupieniem. „*Eto oczeń miło*“ — powiada.

Niechże więc jej zostanie miło. Nie powiem jej wobec tego, że w liście do „Przedświtu“ w 1893 r. Józef Piłsudski pisał, że „Bronisław uważał swój udział w sprawie zamachu na życie cesarza za omyłkę i z wielką goryczą odzywał się o tych kolegach rosjanach, którzy go do tej sprawy wplątali“. W jednym zaś z artykułów, w tymże roku pisanych, tłumaczy, że „...nawet w szeregach rewolucyjnych Rosji nie

mamy dotychczas szczerych przyjaciół; kwestja zaś naszej samodzielności jest dla nas zbyt ważną, a ucisk rządu rosyjskiego zbyt barbarzyński i ciężki, byśmy mogli zadowolić się dotychczasowem biernem zachowaniem się rewolucjonistów rosyjskich. Indyferentyzm w tym względzie musi być przez nas uznany za milczącą sankcję polityki rządowej“.

I wreszcie strumyczki się zbiegają w 1905. Barykady Moskwy. Krwawe dzieje Preśni. Pochód Hapona. Pacyfikacja Kurlandji. I katorgi nabrzmiałe aż po 1917 rok. I znowu podziemia...

Przez wielkie widne sale rewolucji październikowej toczy się nurt narracji, jak wielka rzeka. Sztandary, sztandary... Purpurą idą wzdłuż ścian feretrony napisów, olbrzymie nadnaturalnej wielkości posągi wodzów królują nad tysiącami fotografii, biegnących wartkim prądem zdarzeń. Tak oto wnoszą nas one do sal wojen domowych.

Ninoczkę i towarzyszy dawno straciłem z oczu. Jeden z nich nie miał większego kło-

potu, jak pouczać nas, że musimy słuchać nie dobrze obznajmionej z tematem przewodniczki, lecz kiepsko znającego muzeum polskiego tłumacza... przez patryjotyzm. Zresztą obolała wątroba nie pozwalała mu iść za własną radą. Chodził jak ślepy i wyszukiwał śmieszności — sam będąc na tem tle śmiesznością największą.

Do sal wojen domowych wchodzę z hurmą chłopaków z komsomołu. Muzeum zwiedza ogromna ilość wycieczek. Oprawadzają ich robociarze tacy sami (brudni — jak syczy wątrobiarz), jak i oni. Chodzę w grupie jakiegoś mongola, który daje wyjaśnienia. Wyjaśnienia dzielne, gruntowne, nie blagierskie, mające głowę i nogi i perspektywę historyczną i zaczepienie o rzeczywistość praktyczną.

Przypominam sobie, jak feldfebel w moim Kołomienskim pułku miał pogadanki z żołnierzami i pokazując Napoleona na wyspie św. Heleny, tłumaczył, że siedzi smutny, bo car rosyjski rozgniewał się na niego i odwołał z tronu.

A przecież feldfebel to był szczyt inteligencji, do którego wznosił się człowiek z ludu. A przecież słuchacze jego — Kirgizi, Czuwiani, Czuchoncy, Mordwa i jak się to całe pogaństwo tam zwało, to były zwierzęta, których nie sposób było nauczyć katechizmu nieskomplikowanej żołdackiej słowiesności. Jeśli taki rekrut po trzech miesiącach uczenia na zapytanie pułkownika na inspekcji mógł odpowiedzieć, że wartownik ma prezentować broń „cudzoziemskim osłom“, no to cóż z nimi można było zrobić?

A teraz oto oprowadza nas po Muzeum taka „mongolska mordą“, brudna, obdarta, z kosemi oczkami, w śmierdzącym kożuchu.

Jakaż to praca na nadludzką miarę dokonała się w ciągu tych lat piętnastu! Jakże głęboko orać było trzeba, aby doorać się do rdzenia duszy prostego człowieka w Rosji. Te grupy zwiedzającej Muzeum młodzieży robotniczej, to najsilniejsze wrażenie w drugim dniu pobytu mego w Moskwie. Potem jeszcze niejednokrotnie będę się zatrzymywał, pełen zdu-

mienia, przed najcenniejszą i niezaprzeczalną zdobyczą S. S. R., jaką jest — człowiek. V.

Dobrze trafiam do sal wojny domowej z mymi młodymi przyjaciółmi. Na piersiach ich przypięte znaczki Ossoawiachimu i odznaki „Bądź gotów do pracy i do obrony“ (rodzaj naszego POS). Młode pokolenie w Rosji świetnie się orientuje w zadaniach nowoczesnej broni i nowoczesnej wojny.

A tymczasem w sali tej widzimy ogromną ilość eksponatów naiwnych, pomysłów domorosłych, jakie tworzyły broń, której brakło w wojnie domowej. Widzimy armaty sklecone z rur przez wsiowych kowali, widły, przerebione na spisy, rewolwery sporządzone z uciętych karabinów, kołatki drewniane, które miały naśladować terkot karabinów maszynowych tam, gdzie ich nie było.

Przed oczami naszymi stają przestrzenie niezmierzone Rosji, objętej wojną domową, stopy od Kaukazu po Kubań, gdzie po stacjach i po ałusach, po futorach i po niemieckich kolonjach i po kiszłakach tatarskich bu-

szowały watahy różnego kalibru. Gdzie na tle podłości, zdzierstwa, grabieży, tem wspanialej wykwitały samotne bohaterstwa ludzi prostych, nie mających za sobą dyscypliny ani nakazu; ludzi, którzy pochodzili z narodu, nie mającego w tradycjach indywidualnego bohaterstwa jednostki.

Podchodzi grupka „pionierów“ — coś w rodzaju naszych skautów. Mają czerwone pionierskie krawatki i wnoszą świergot młodych głosów. Dla tych — to już nie relikwje, to co mają przed sobą, a ciekawostki. „Patrzaj, jaki ogromniasty rewolwer...“ To jest — przeszłość, która nigdy nie była dla nich teraźniejszością. Moja mała córeczka dowodziła kiedyś, że rodzice pobrali się przed powstaniem. „Ależ co ty mówisz — tłumaczy matka — ja mówiłam, że przed wojną polsko-bolszewicką“. — „To wszystko jedno“ — konkluduje osoba, urodzona zarówno po powstaniu, jak po wojnie polsko-bolszewickiej.

W sztuce „Strach“ zwierza się mała dziewczynka ojcu, że wuj jej koleżanki mówi, że pa-

mięta i widział „gorodowowo“ (policjanta). „Żywego“... dodaje, obawiając się, że ojciec pomyśli o ekspozycji w Muzeum.

Jakże będą rozmawiały ze sobą te wszystkie osoby, gdy dorosną?

Ale gdzież jest wódz i Napoleon wojny domowej, Trocki? Pytał już o niego Słonimski, zwiedzając Muzeum Rewolucji i pokazano mu pocztówkę, na której stał Trocki w grupie innych osób. Ja mam więcej szczęścia i znajduję dużą jego fotografię z jeszcze większym podpisem:

Lew Trocki — mieńszewik-centrowiec w okresie wojny imperjalistycznej — w chwili obecnej agent kontrrewolucyjnej burżuazji. x

Z pomieszanem uczuciem stoję przed portretem Trockiego. Trudno sobie wyobrazić, ażeby ten inteligent z bródką, sprawiający wrażenie magistra farmacji, to była, sięgnąwszy do Wyspiańskiego:

*Dłoń to ta sama co nam wydzierala
bezprawnie ziemie — co łupiła miasta
co pożarami nasz kraj pustoszyła...*



Lew Trocki j ongiś.— Obecnie agent »kontrrewolucyjnej burżuazji« (str. 81).
(Karykatura Deni).

A jednak to Trocki, wódz energii żelaznej, „ignis ardens“ rewolucji rosyjskiej, nigdy niezmordowany, szalejący w swoim kom' i agit' pociągu po wszystkich frontach od Lodowatego Oceanu do Kaspija.

Teraz siedzi samotny na Wyspach Książęcych. Zwolennicy jego „pokajaliś“ dawnym obyczajem. Jak kajali się dekabryści i Puszkina i Gogol i Tiutczew i Czaadajew. Ten ostatni, jeden z najpiękniejszych umysłów rosyjskich, wsadzony przez złośliwość carską do domu warjatów, w kornym piśmie do policmajstra nazywa siebie i bliskich sobie „bredstwujuszczymi umstwowatielami“.

Zerkam na młodzież, która wszak tak umiała w poprzednich salach dyskutować przy portrecie sekretarza generalnego komsomolu towarzysza Kosariowa o prawym i lewym „ukłonie“, która wszak jest wyrobiona, czuje, wie i widzi... Przebiegają oczami podpis w milczeniu i przechodzą. Rację miał Mackiewicz, pisząc o myśli w obcęgach. Ale czy ina-



Prawo krytyki obywateli sowieckich.

(Karykatura Czerniaka).

czej zbudowałiby Piotr I i Józef Wissarjonowicz Stalin swoje wielkie dzieła?

W podziemiach Muzeum znajduje się oddział katorgi. Modele osiedli za kręgiem polarnym położonych, nazwy, drogie tak uchu polskiemu, jak kąty własnej ojczyzny. Odnajduję miejsca zsyłki Ojca i bliskich.

Przed całą żywcem wyłamaną z kazamatów

Szlisselburskiej fortecy, przed celą, w której dwadzieścia lat siedziała Wiera Figner — grupka młodych chłopaków. Staruszka Kustoszka, uczestniczka walk na barykadach Presni w Moskwie w 1905 r., usiłuje im wytłumaczyć, że w tej zwilgłej norze, przy tej zakopconej lampie naftowej, nad tym zlewem, pod tą dziurą w suficie, mającą imitować okno męczył się i cierpiał dla ich przyszłości przez lat dwadzieścia żywy człowiek. „Głuptasy nic już nie rozumieją“, zwraca się do mnie z dobrym uśmiechem.

Z Muzeum Rewolucji jadę na śniadanie do pierwszorzędnego hotelu, na które zaprosił mnie jeden z czołowych wodzów bolszewizmu. Mówię mu o uwadze chłopca o rewolucji, która porosła w pierze.

— Porosła, to i dobrze, ale do Muzeum jej nie schowaliśmy, o to się nie bójcie.

— Nie obawiacie się, że Stieńka Razin znowu wyłoni się ze skały i pójdzie przeciw opierzonej rewolucji?

— Ależ on tam nie włąził. Napewno jest gdzieś szturmowcem w betonie czy metalurgji.

— Rewolucja powinna była uszanować starą rosyjską zasadę: leżącego nie bić. Pocóż było umieszczać szkalujący podpis pod fotografią Trockiego?

— Ciekawym, kiedy to Rosja i gdzie, poza ringiem kulacznym na rzece — Moskwie, trzymała się tej zasady? A zresztą podpis jest słuszny obiektywnie. Kto nam przeszkadza, ten pomaga burżuazji. Śmieszni jesteście ze swoimi czułościowościami. Czyż nie rozumiecie, że jesteśmy w ciągłym ataku? I że kiedy ktoś idzie z karabinem na „gotuj broń“, to głupstwo mówić o tem, że ma jakąś tam myśl w obcęgach.

Wiem, że rozmówca ucierpiał sam w swoim czasie za „Troickistowską herezję“. Spoglądam nań z pod oka i rozważam, kogo mam przed sobą: Czaadajewa, czy „udarnika“? Ale bodaj tego drugiego. Typ człowieka podnosi się i hartuje w Republice chłopa i robotnika.

Mój amfitrjon płaci rachunek i rzuca kelnerowi napiwek. Jestem zdziwiony.

— U nas, w burżuazyjnej Warszawie, odwykliśmy od tego...

Uśmiecha się z pewnem zdetonowaniem:

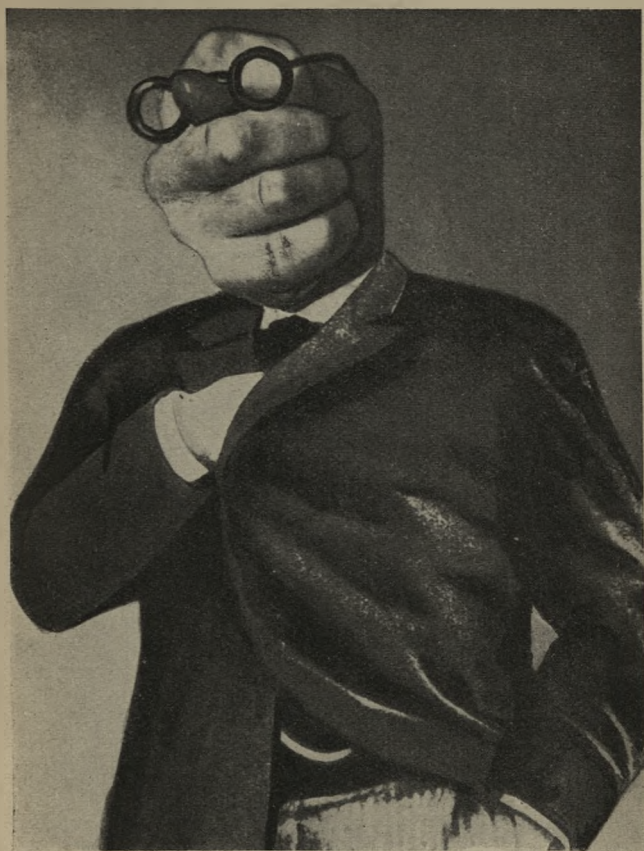
— No, ja tak, poprostu... Marnie zarabiają, niech sobie przynajmniej lepiej zje.

— A my dajemy, żeby wypił... Ale rozumiem — niech się opierzy...





<http://rcin.org.pl>



Fotomontaż B. Kłincza

Cóż od tych panów można dowiedzieć się po ich powrocie?
— Figę!... (str. 93).



Fot. D. Debbelow
To kondotjerskie zwierzę strzeże zawsze tego, kto ma władzę... (str. 67)

STAWKA
NA CZŁOWIEKA



Kiedy udawałem się do Rosji, zastanowiłem się — z jakim nastawieniem mam jechać, ażeby coś zobaczyć. Część moich towarzyszków podróży jechała z nastawieniem wrogiem — nietyle kapitalistycznym, ile mieszczańskim. Dla tych już na granicy cukier podawany do herbaty był wilgotny i szary, Meyerhold — błazeństwo, hotel — okropność, trup Lenina — obrzydliwość, dancng w Metropolu — świadectwo, że rewolucja przychodzi do burżuazyjnego żłobka, Dnieprostroj — „pic z elektromontażem“ mówiąc słowami Dymszy i t. d. Cóż od tych panów można się dowiedzieć po ich powrocie? — Figę... Dosyć ich mamy po gazetach całej Europy. Wprost przedzierać się trzeba przez gąszcz ich komentarzy, by wyłuskać fakty.

W sztuce „Sąd“, którą widziałem u Wachtangowa, opartej na rzeczywistości niemieckiej z przed dwóch lat, grupka robotników na przedmieściu rozmawia o S. S. R.

— Ech, żeby dowiedzieć się, jak tam jest naprawdę — wzdycha młodzik — gazety tak kłamią.

— A ty naucz się czytać gazety — odpowiada starszy robotnik. Ot czytam pewnego razu:

Trzeźwe zdanie fachowców o szaleńczych pomysłach budowy traktorów w kraju, w którym siła robocza jest darmo.

W miesiąc potem tytuł: *Rozpoczęta budowa fabryki traktorów będzie przerwana. Utopione miljarady. A więc jednak budują!*

W jakiś czas potem: *Tysiące defektownych traktorów. A więc jednak wyprodukowali traktory!*

Wreszcie: *Dumping sowieckiego zboża. A więc pracowały traktory.*

Cała widownia Wachtangowa klaszcze i ja gotów jestem klaskać. Zbrzydły już te wielo-

letnie opowiadanka najpierw o okrucieństwach Czeka, teraz o szaleństwach gospodarczych Sowietów. Świat ciężko pracuje w poszukiwaniu wyjść, a te miliony wyjść zaciemniających prawdę sprawiają wrażenie kłownów uwijających się za składaniem dywanów.

Tem niemniej ci moi sceptyczni koledzy z wycieczki mieli punkt wyjścia, dookoła którego mogli sobie nizać fakty.

Inni uczestnicy wycieczki byli nastawieni bezapelacyjnie entuzjastycznie. Wszystko w tym kraju ciemnoty, analfabetycznych bądź co bądź jeszcze mas, rządów ludzi, którzy wszak przez całe swoje życie nie mieli dotyku do życia praktycznego, w kraju okrucieństwa i obłudy dziedzicznej — było piękne z góry, udane, celowe. Ci ludzie w byle szpitalu bolszewickim, przypominającym kasę chorych w jakimś naszym Rypinie, w byle szkole, której równe ponastawiał choćby wojewoda Grażyński, mdleli z zachwyty i nie dawali sobie wytłumaczyć, że takie same cuda mamy w kapi-

talistycznej Polsce — jak ów człowiek, któremu trzeba było tłumaczyć, że i on mówi prozą. To małpiarstwo bolszewickie zjawia się zwykle u tych, co nie dotyczą życia kraju u siebie, którzy nie kochają nic, których spekulacja nowymi przekonaniem nie kosztuje nic, bo te przekonania są nabyte darmo i nie zapłacone żadną ceną. Z tego rodzaju entuzjastów powstają potem malkontenci Sowieców. Im się zdawało, że można wszystko negocjować i wszystko jest względne, tymczasem w Sowieciech nie można negocjować nic i wszystko jest bezwzględne.

A jednak, wiedziałem to, jeśli przy wyjeździe do jakiegoś kraju nie zabrać nastawienia, z którym się podchodzi, to nie ma do czego doczepić zbieranych informacji i wraca się z pustką. Nastawienie „bezstronne“ wobec zjawiska, które dominuje w zagadnieniach świata, jest tylko wygodnym parawanikiem dla reporterów, którzy hołdują zasadzie „i Bogu świeczka i djabłu ogarek“. A zresztą nie wyobrażam sobie, jak można podchodzić do zja-

wisk społecznych bez przyrządu mierniczego w głowie; wówczas w głowie tej powstaje skład wiadomości różnej miary i zły wypiek bułek będzie postawiony na jednej płaszczyźnie z dobrym rozwojem Magnitogorska.

Jeśli dla mierzenia długości bierzemy metr, ciężaru — kilogram, ciśnienia — manometr, prądu — amperometr, jeśli poszczególni technicy biorą teodolity, sejsmografy, libelle i jak się tam nazywają ich techniczne przybory, które działają poza nimi, obiektywnie, wyrzucają odpowiednią strzałkę w odpowiednim miejscu skali, a techniczny pracownik byle zrobił dobrze pomiary i dobrze zanotował rezultat, może iść na obiad w pokoju ducha — to dlaczegoż pomiary socjologiczne nie mają równie bezapelacyjnych przyrządów syntezy, dlaczego dziennikarz stawać musi przed jakimś PANTA REI?

W poszukiwaniu jakiegoś miernika leżącego poza mną, poza mojami nawykami psychicznymi lub nałogami myślenia, rozumiałem, że nie będzie nim sprawozdanie z piatiletki, ani

wogóle jakiegokolwiek bądź cyfry. Technik uważa cyfrę za najpewniejszą, socjolog — wie, że jest to tylko jeden z elementów syntezy, częstokroć najbardziej zawodny przez to, że wzbudzający najwięcej zaufania.

Gdzieś tam olbrzymie tłoki przepompowują oceany. Cóż ja, skromny pył na drodze wieków, wiedzieć mogę, ile w tych oceanach jest wody i na jaki czas rozmierzone jest zamierzenie? Stwierdzić statystykę dnia dzisiejszego, a tembardziej przewidzieć statykę dnia jutrzejszego było ponad moje i nie tylko ponad moje siły. Najwyżej możemy kusić się o stwierdzenie stanu kinetycznego. Ocean przelewa się w drugie łożysko przez szereg naczynek włoskowatych — obywateli. Podejdźmy do obywatela, zobaczymy, w jakim tempie płynie przez niego ten prąd. Oto jedyny, skromny miernik, który mógł ze sobą wziąć przeciętny dziennikarz bez zbyt wielkiego przygotowania jadący na siedem dni i tylko do Moskwy.

Wziąwszy ten miernik — człowieka, nie oglądałem instytucyj, do których woził wy-

cieczkę Inturist, ani zwiedzałem zbyt pilnie muzeów i galeryj. Mówiłem z ludźmi. Dwie były ich kategorie: kierownicy S. S. R. i prości obywatel.

Rozmowy z pierwszą kategorią ludzi dawały mi to samo mniej więcej, co mi dawała lektura o Rosji Sowieckiej — to już były syntezy. Dlatego najmniej ciekawe były śniadania prośzone, na które przynoszą oni swoje mózgi, swoje osoby sterylizowane od otaczającego świata. Ciekawsze były ich mieszkania, ich ubrania i nie to *co* mówią, ale *jak* mówią. Jest to wciąż jeszcze zakon, surowy zakon partyjny. Członek partji nie może więcej zarabiać, niż przewiduje tak zwane *partmaximum*, wynoszące w większości wypadków 450 rb., — suma nędzarska. Ubierają się wszyscy w walonki, koso-worotki (koszule zapięte pod szyję), mieszkają w mieszkaniach o określonych jak dla zwykłego robociarza rozmiarach, z tym tylko wyjątkiem, że dla inteligenta, który pracuje w domu, dodaje się dodatkowy pokój na warsztat pracy.

✓ Jedynymi ludźmi w Rosji, którym pozostawiono prawo omal nieograniczonych zarobków (o ile nie są członkami partji), są pisarze i artyści.

Pilniak podaje, że kiedy, interwjuowany przez reporterów przy wjeździe do portu Nowojorskiego podał swoją sumę zarobków jako wielokrotnie przynoszącą „zarobki“ Stalina, na drugi dzień czytał w dziennikach wielkie tytuły: „Pilniak — najbogatszy człowiek w Rosji“.

Ten wyjątek dla artystów, to niejako już przeżytek z przed lat piętnastu, kiedy po bezlitosnej rozprawie z inteligencją rządu krajem wzięli w swe ręce robotnicy i marynarze napółpiśmienni i kraj był spragniony wytwarzania dóbr duchowych.

Obecnie stan ten się zmienił. Pilniak opowiadał, że przez pewien czas był kierownikiem jakiejś instytucji, mającej za zadanie ocenianie rękopisów początkujących pisarzy. Robotnicy i synowie chłopscy przynosili rękopisy naręczami. Zapal tych pobudzonych do życia dzi-

kusów, ich rozpacz w razie dyskwalifikacji, były tak wielkie, że należało postawić w pewnej ubikacji stałego stróża: odpaleni autorzy wieszali się w niej na miejscu.

Obecnie, kiedy literatura rosyjska rozkwitła tak wspaniale, kiedy masy zostały o tyle podciągnięte do życia intelektualnego, przedział między nimi i artystą zmniejszył się i, jak mi mówił Bruno Jasieński, sprawa honorarjów ma być poddana rewizji.

Ciekawsza była druga kategoria — zwykłych obywateli. Przeprowadziłem nieskończoną ilość rozmów, aż na szynkach nocnych skończywszy. Spotykałem wielu niezadowolonych — z reguły ludzi ponad czterdziestkę. To nieprawda, żeby się bali mówić. Przedewszystkiem proletariusz nie czuje się tak niepewnie w S. S. R., jak to nam inteligentom się zdaje. Miałem, naprzykład, taki wypadek. Zwiedzaliśmy „ośrodek zdrowia“ (coś w rodzaju szerzej pojętej kasy chorych). Przy ławie pod ścianą, na której czekali pacjenci na swoją kolejkę wisiał eksponat, mający po-

uczać, jak ma być utrzymywane mieszkanie robotnicze. W dużej gablocie były ustawione dwa mieszkania. Nieporządnie utrzymane i to samo mieszkanie z temi samemi meblami utrzymane wzorowo. Zatrzymałem się z lekarzem oprowadzającym przy tej gablocie, siedząca zaś obok robotnica wygarnęła następujące *verba veritatis*:

— I cóż wy tu pokazujecie, towarzyszu doktorze, kogóż wy chcecie oszukać? Toż gdybym ja miała takie mieszkanie, jak wy tu pokazujecie to złe i nie wzorowe, szczęściu bym swemu nie wierzyła. Cóż to, nie bywacie, towarzyszu doktorze, w naszych domach, nie widzicie jak się gnieździmy w zawilgłych kątach, jak w izbach robotniczych w trzy rzędy nary jedne nad drugimi idą, bo miejsca niema? A wy tu rozpaczacie, że w tem, złem, podług was mieszkaniu, serwetki, patrzcie państwo, na komodzie niema?

„*Prawilno, prawilno...*“ potakiwała cała ławka ku bezsilnej konfuzji doktora, zawiadowcy i innych dygnitarzy.

W cztery oczy są jeszcze bardziej szczerzy. Ale wszystkie ich żale sprowadzają się do jednego: dzikie eksperymenty odbierają ludziom chleb od ust. Nie ma co jeść, nie ma w co się ubrać. Tak żyć, to już kres wszystkich sił ludzkich.

Ale przecież o tem wiemy bez jeżdżenia do Rosji Sowieckiej. Natomiast, rzecz charakterystyczna, nie zanotowałem ani jednej skargi na to, że „komisarze“ tuczą się na ogólnej nędzy, nikt w sposób przekonywujący nie stwierdził, że jest coraz gorzej.

Czyż można było przypuszczać, że w kraju ciągłego bohaterstwa i wyrzeczenia wszyscy są bohaterami?

Natomiast można podziwiać, że bohaterów jest tak dużo. Głodni i bosi, wynędzniali, mają ludzie dumne poczucie swojej socjalistycznej ojczyzny. Nietylko młodzież, jak stwierdził Mackiewicz. Gdyby tylko młodzież, to i wtedy moglibyśmy powiedzieć, że rewolucja wygrała dla siebie człowieka. Ale i większość starszego pokolenia. ✓

Czegóż trzeba więcej dla powzięcia zdania o obecnej rzeczywistości sowieckiej? Nie wiele mnie obchodzi, czy się przekalkulowało w tej czy innej inwestycji. Jestem gościem. Nie znam się na tem.

To na nich, milionach obywateli, złością się te wszystkie niedopatrzenia, niedociągnięcia. Ich zdanie jest wypadkową wszystkich plusów i minusów, wypadkową zrobioną w pilnym i tak drobiazgowym obrachunku codziennym, jakiegoby nie zrobił najsumienniejszy korespondent. Skoro u nich, u tych którzy płacą za eksperymenty, obrachunek kończy się saldem dodatniem, to cóż ma do powiedzenia obserwator ze strony?

Musi skłonić głowę i powiedzieć sobie: dla stworzenia wielkich rzeczy potrzebny jest materiał i praca. Surowce Rosja ma w nadmiarze. Skoro ma za sobą człowieka, to sprawa rozwiązana jest pozytywnie.

NA ŚMIECH —
ZA WCZEŚNIE



L. Smirnow

Wesołe czastuszki



Fot. Kislow

Woroszyłow przed paradą



Gdzież miałem szukać człowieka przeciętnego w Rosji? Tam gdzie go się szuka i w stolicach Europy: w tramwaju, na ulicy, w sklepie, w teatrze, w sporcie, w sądzie, w szkole, w kinie.

Byłem tam wszędzie.

Nieprzyjaciele S. S. R., wracając z podróży po niej, konstatują jako główny zarzut, że ludzie przestali się śmiać w Rosji Sowieckiej. Nie wiem, czy wogóle w tym kraju kiedykolwiek ludzie śmieli się swobodnie. Ludzie Zachodu nie chcą pamiętać o tem, że Rosja jest odległa zaledwie o cztery stulecia od najścia barbarzyńców, gdy Zachód przeszedł przez ten kryzys czternaście wieków temu. O braku ożywienia publiczności rosyjskiej pisał już cyto-

wany przezemnie Custine, podkreślał to Mickiewicz w swoich wykładach w Collège, sami Rosjanie niejednokrotnie to przyznawali. „Nawet we wzroku naszym znajduje się coś nieokreślonego, zimnego, podobnego do wyrazu twarzy ludów, stojących na niższych stopniach drabiny społecznej“ — pisał Czaadajew — „Gdy znajdowałem się w innych krajach, gdzie twarze są tak ożywione, tak wymowne, porównywałem nieraz moich rodaków z ich mieszkańcami i zawsze uderzała mnie ta niemota naszych twarzy“.

Widzimy więc, że ten nastrój ulicy rosyjskiej jest niekoniecznie nabytkiem najnowszych dni.

Z drugiej strony powiedzmy sobie, że kraj, który przeszedł tak straszne lata, który skąpał się we krwi ponad wszelką miarę, zniszczył sfery posiadające, które zwykle są rozsadnikami kultury i nadają styl zewnętrzny formom obcowania, kraj ten, który i teraz jest położony na dziejowym kowadle i żyje, i musi żyć, każdym fibrem dla przyszłości, powinien

był wytworzyć inną formę obcowania, jakieś inne, umowne formułki stosunków ludzkich, jakąś swoistą, specjalną, powiedzmy, proletariacką kulturę.

Bolszewicy dobrze rozumieją, że głównym bogactwem kraju jest człowiek. Wygląda to na paradoks, kiedy się mówi o kraju, w którym od wieków wartość ludzkiego życia — kopiejka, w którym Piotr I stawiał stolicę na bagnach trambowanych śmiercią stu tysięcy chłopów, a bolszewicy w podobny sposób stawiają eksport drzewny, plantacje bawełny, kolektywizację, „chlebozagotówkę“ i t. d.

A jednak tak jest... Siedzi Rosja-matuszka za piecem świata, przestała się obawiać interwencji. Omyłki? Niedochwatki? Nieuwiazki? — Eech poszła sto wiorst na prawo, sto wiorst na lewo... starczy darów Bożych.

Ale, ot, człowieka nagle może nie starczyć.

„Ludzie nie z tego świata“, kiedy otrzymali władzę, rychło nauczyli się od życia, że nie dosyć wyprodukować traktory, ale że je trzeba nadto konserwować. Partyjnicy, opano-

wawszy masy, zrozumieli, układając plan drugiej piatiletki, że nie dosyć jest trzymać masy ludzkie w ciągłym napięciu, że trzeba dać jakiś smar, który będzie amortyzował tarcie trybów. Dopuszczono śmiech, zdjęto klątwę ze zwykłych burżujskich tańców, zaopatrzone sklepy w większą ilość towarów.

Ale to dopiero teraz. A jakże układały swe życie te masy dotychczas?

V Czy nie zechcieliby przyznać ci, co tak wyniośle po powrocie „do Europy“ stwierdzają, że w S. S. R. zaginął śmiech, iż ludzie są tam wzajemnie dla siebie bardzo dobrzy? Proszę porównać naszą publiczność jadącą tramwajem. Ileż to kłótni wybucha pomiędzy stłoczonymi, napimpuszonemi paniusiami w źrebakach, w skunsach, obładowanych pudełkami i paczkami? Wszyscy wszystkich bez żadnego wątpienia mają za idjotów i chamów i od czasu do czasu wyraziście siebie o tem przekonywują.

W tramwaju moskiewskim, natłoczonym do niemożliwości (pięciokrotnie większą ilość pasażerów przewozi rocznie sieć tramwajowa

niż w ostatnim roku przed wojną) tłum jest wzajemnie życzliwy i pomagający sobie. Nie słyszałem nigdy najmniejszej sprzeczki.

Pewnego razu starałem się precyzyjnie. Jakiś, zapewne robociarz (trudno powiedzieć, bo wszyscy są tak samo ubrani), odezwał się:

— Ależ i grubas z pana.

— Cóż zrobić: nieszczęście to nie grzech — odrzuciłem żartobliwie gwarowem rosyjskim powiedzonkiem.

— A cóż to ma znaczyć — grzech? — prowokacyjnie zapytał robociarz. Poczułem, że jedzie od niego wódką. Zrozumiałem, że jest zgorszony „popowską“ terminologią i pragnąc doprowadzić eksperyment do końca, odpowiedziałem:

— Grzech, to jeśli człowiek co zawini. A grubość, to cóż: wola Boska.

Rozmówca mój miał już najwyraźniej tych bluźnierstw *sui generis* dosyć.

— No, bracie, bogów tośmy już dawno przepędzili z kretesem. A pan (wy...) jest napewno burżuj?

Na tę straszliwą obelgę publiczność, która dotychczas z cichą aprobatą przysłuchiwała się słowom robociarza, wmieszała się z całą energią:

— Ależ i grubjanin z ciebie. Czyż można człowieka tak obrażać tylko dlatego, że nosi kapelusz? Co ty możesz wiedzieć? A może właśnie jest przeciwnie?

Rozmówca mój był bardzo skonfundowany. Czując się panem położenia, zwróciłem się do niego „per ty“ z jakąś typową rosyjską „pribautką“ i kończyłem przepychać się do wyjścia. Cały tramwaj się rozpromienił. Tępiciele burżujów również przepchał się do pomostu i długo kiwał do mnie przyjaźnie z odjeżdżającego tramwaju.

Innym razem konduktorka zagadnęła jakiegoś chłopaka w tramwaju o bilet.

— Oj, mówisz, że bilet jest, a już po oczach widzę, że zajączkiem chcesz się przejechać — śmieje się po macierzyńsku — no, złaż na najbliższym przystanku, złaż...

Publiczność śmieje się z incydentu.

— No, co tam, towarzyszeko, niech jedzie—
mówi ktoś, wyciągając 10 kopiejek, które płaci
za chłopaka.

Przypominam sobie dzikie harce konduktów
za wieszającymi się po tramwajach chłopakami,
których się bije po głowach i zdziera
im czapki. Ale w Moskwie wieszających się za
tramwajami nie ma, bo nie ma bezrobocia,
choć jest straszliwie ubogie życie — ogólne.

Czyli — mówiąc słowami Edwarda Abra-
mowskiego, — „...to wszystko stąd tylko wy-
nika, że dzisiejszy człowiek jest tak mało uzdol-
niony do przyjaźni, że walka o chleb i cała ta
atmosfera kapitalizmu, wśród której żyje, robi
go egoistą i od małego dziecka tłumi w nim
miłość ludzi“.

W sądzie na sprawie podsądnym jest czło-
wiek w dostatniej czapce futrzanej, nowych
walonkach, futerku krytem sukniem z jakimś
kołnierzem z oposów.

Sądzi komplet trzech sędziów, w czym sę-
dzia kobieta jako sędzia zawodowy i dwóch

ławników wybranych od fabryk. Ci ławnicy są wybrani na rok i już tylko pracują w sądzie, fabryki zaś im płacą zwykłą dniówkę.

Gdy sąd wchodzi, nikt nie wstaje. Przy czytaniu wyroku też. Sędziowie zadają pytania, trzymając papierosy w zębach. Publiczność na sali siedzi w czapkach na głowie. Żadnego molicjanta.

Podsądny staje przed sądem w czapce na głowie. Pytam szeptem sąsiada, czyż tak wypada.

— Naturalnie, że powinien zdjąć czapkę — odpowiada. — Wiadomo, człowiek ciemny. No, a sędzia nie chce go peszyć zwróceniem uwagi.

— Jakże ciemny? — replikuję — z ubrania wygląda na inteligenta.

Rozmówca spogląda na mnie tak, jakby spojrzano w Warszawie na kogoś, co nagle zaczyna mówić stylem z biblji Wujka. Niektóre słowa wypadły z rosyjskiego języka potocznego. Kiedyś w tramwaju, zapytany przez kogoś, ile kosztuje mój aparat, wymieniłem cenę,

dodając, że jeśli się płaci gotówką, to można się targować i uzyskać ustępstwo od cennika. Nagle usłyszałem za sobą chichot:

— Pan wybaczy — tłumaczyły się dwie jakieś zapeszone młode dziewczyny — ale nam tak śmiesznie słyszeć to słowo. W sowieckich sklepach jest ono nieznanne. My właśnie jesteśmy sprzedawczyniami.

To samo ma miejsce, gdy przybysz zaczyna operować dniami tygodnia. Niedziela ze świątą, poniedziałków, wtorków i t. d. poszła do lamusa. Jest tylko szósty dzień wypoczynkowy i daty miesiąca.

Otóż podsądny jest woźnicą ciężarowym. Ma porządne rękawice i walonki obszyte skórą, bo do tego rodzaju roboty wydają. Skradł trzy worki parciane i chciał sprzedać, a zatrzymany przez milicjanta, chciał mu dać pięć rubli. Tłumaczy się, że te pięć rubli dawał jako mandat karny. Do partji nie należy (głos: „jego szczęście, boby nasolili wyrok“), jest mało-piśmienny.

Wyrok: sześć miesięcy więzienia. Uzasad-

nienie, które szerzej rozwija przewodnicząca: kradł rzeczy, które są ogólną własnością państwa chłopów i robotników. Zmiana głosu na mniej oficjalny: Ale ponieważ jesteś ciemny (przejdźcie na ty) i dotąd nie byłeś karany, to ci się wyrok zawiesza. No, możesz iść, a czapkę powinieneś był zdjąć, bo stoisz przed sądem. No, idź i powstydz się przed tylu ludźmi, którzy byli świadkami tego, co zrobiłeś.

Kiedy po sprawie sąd zarządził przerwę, spytałem sąsiada, jakże to sąd nie jest strzeżony przez milicję. Użyłem słowa „ochranianiem“, co wywołało wesołość przez asocjację z „ochroną“.

— Bądźcie spokojni, obywatelu, odezwał się jakiś jegomość o gębie, na której malowało się siedem grzechów (przepraszam, nie ma grzechów) głównych przeciw „własności chłopów i robotników“ hurtem, a pozatem ze czternaścioro pewno dodatkowych przeciw własności chłopów oddzielnie i oddzielnie robotników — ot, my tu z kolegą jesteśmy z kry-

minalnej sprawy, ale bądźcie spokojni — sądu nie ruszymy.

Zaznajamiam się ze starszym sędzią. Był partyzantem, walczył z wojskami Dowbora, był w akcji pod Rohaczewem, którą znałem. Był pod Cichiniczami, w których nie zdążyliśmy wyewakuować szpitala.¹ Zostało dwudziestu sześciu ciężko rannych i cały personel szpitala wraz z nimi dobrowolnie, z doktorem Mroczkim na czele. Bolszewicy wymordowali cały personel męski i pozostawili cztery siostry Polki, które same kopały mogiłę przy urągowisku gawiedzi i znosiły do niej ciała rozstrzelanych, a potem żebrały po wsi o chleba dla rannych i wytrwały przy nich do końca. Sędzia tłumaczy, że Polacy zaczęli i że podstępnie zamordowali dwóch marynarzy. On sam dostał się do niewoli polskiej wraz z siedmioma towarzyszami, miano ich rozstrzelać, ale skończyło się na tem, że „zdrowo dali po mordzie“. Potem wymieniono jeńców.

¹ Patrz: Melchior Wańkowicz. „Szpital w Cichiniczach“. II wydanie, październik 1934.



Turgieniewz nieba: »O wielka, potężna i wolna mowo rosyjska...«

(Karykatura Deni).

Żegnam się z sędzią, bo czas na obiad. Po obiedzie jadę robić sprawunki do „Uniwer-
 magu“ (Uniwersalnego Magazynu — co też
 zrobiło się z sytej i niepospiesznej dźwięcznej
 i rozlewistej mowy Turgieniewa!). „Uniwer-

mag“, dawny „Miur i Mieriliz“, mieści chyba ze szesnastu B-ci Jabłkowskich. Ogromny ogon tłumu w cztery rzędy wlewa się w paszczę sklepu. Szczegół charakterystyczny: z hallu można wejść wprost głównymi oszklonymi drzwiami, ale tłum ma wchodzić bokiem, co kosztuje nas pięć minut czasu więcej. Głównych oszklonych drzwi nie pilnuje nikt. A przecież nikomu do głowy nie przychodzi przejść przez nie.

Tłum na każdym miejscu ciągle jest uczony zasad współżycia. „Organizowanno, towarzyszy, organizowanno!“ — ciągle się słyszy i na każdym miejscu. Zaczyna się to od najmłodszych lat. W szkole liczącej 3200 dzieci, podczas przerwy, w czasie której zastawiono w salach jadalnych smakowitą zupę na pierwsze i po kawałku ryby (coprawda bardzo małym) z ryżem na drugie, widziałem klasę za klasą ciągnące z zupełnym spokojem i bez nawoływań nauczycieli i zajmującą swe miejsca. A były tam dzieci od lat siedmiu do piętnastu. Młodzież w Sowietach przechodzi przez trzy

stopnie organizacyjne: *Oktiabriata* (październikowięta) — odpowiednik włoskiej balilla, *pionierzy* — odpowiednik naszego harcerstwa i *komsomoł* — do którego wchodzi dorosła młodzież.

W korytarzach szkoły, któremi biegną czerwone wstęgi: „Szkoła musi znać swoich szturmowców“ — a pod nimi fotografie chłopców i dziewcząt, wiszą też „Stiengazety“ wszystkich tych kategorii młodzieży.

W najmłodszej gazecie kolorowemi rysunkami i bardzo pracowicie, z wysuwaniem zapewne języka, była wyobrażona jakaś Nastia Biełowa, jak kupuje w sklepie łyżwy, podczas gdy na innych rysunkach szanowne prezydjum nie może się doczekać lekkomyślnej Nasti, która przełożyła łyżwy nad zebranie.

Typ dziecka sowieckiego jest stale omawiany w teatrze, literaturze i karykaturze. Życie jego płynie w ramach społeczno-organizacyjnych.

W teatrze dla dzieci po końcu przedstawienia wychodzi przed kurtynę ktoś, kto dyry-



Sowiecka karykatura na malca—pioniera. Depcze książkę dla młodzieży, ma bęben, tekę wypelnioną papierami i robi dużo hałasu

guje, jakie rzędy mają opuszczać salę i udawać się do szatni. Stosowaliśmy się do tego karnie, aż ktoś tam ulitował się i szepnął widać o nas słówko, bo wreszcie ze sceny ogłoszono: „A teraz wychodzi Polska delegacja“ i wtedy po-

szliśmy do szatni, gdzie dzieci czekały w kolejkach bez gwałtu i tłoku.

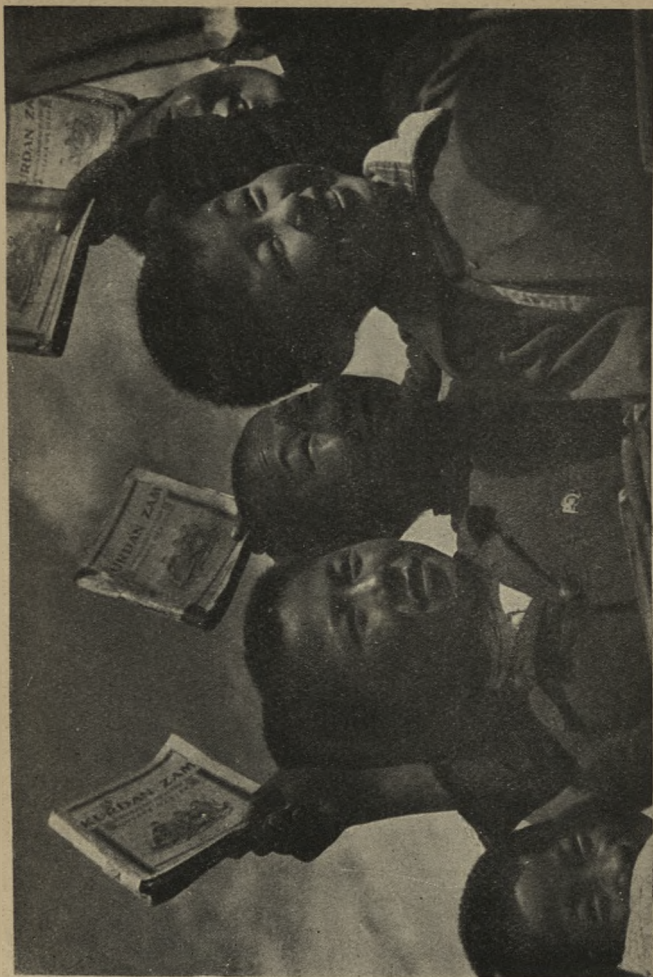
Obecnie w Uniwersytecie wielka kolejka stała przed budką, w której sprzedawano lemonjadę. Nagle wynikła kontrowersja sprzedającej z jedną z wyczekujących, która pono minęła kolejkę. „Jakże, wykrzykiwała zaperzona obywatelka, cóż to, czy ja z prowincji jestem? Czy ja nie wiem, że należy się kolejki trzymać“?

„Jakiś tu nowy *savoir vivre* układają sobie te proletarjackie masy“ zanotowałem sobie „mniej tu wprawdzie słycać chichotów, ale i mniej kłótni“.

I pod adresem wyśmiewających ogonki i walonki, brak uciechy i inne grzechy — rodaków-europejczyków (a cóż za obszerna i przyzywana rodzinka!) pomyślałem przysłowiem rosyjskiem:

Rano śmiejątsia.





Fot. M. Prechner

»Oktiabriata« z jakichś dzikoludzkich szczepów...



Fot. E. Mikulina

Zwiedziłem szkołę na 3200 dzieci (str. 121)

START OD
WIELBŁĄDZIEJ NORMY

<http://rcin.org.pl>



Hotel nasz był położony nad rzeką Moskwą. Codziennie, ślizgając się po gołoledzi, szło się przez most ku Czerwonemu Placowi, na poszukiwanie, zwykle bezskuteczne, dorożkarza. Na tle zasłanego śniegiem i obłożonego lodem miasta wydzielala się czarnem pasmem niezamarznięta woda rzeki. Niezamarznięta i parująca.

Pewnego razu zatrzymałem się, aby spojrzeć w dół, w opary, które dawały oryginalny kontrast w zestawieniu z zimowym krajobrazem. Nagle za mną rozległ się głos:

— A co, nie wadziłoby rybki połowić.

Za mną stał Moskwicz w kłapouchej czapce

z królika. Ucha się spuszcza, ale nie zawiązuje się ich pod brodą i tasiemki wedle „mode Moscovite“, luźno sobie dyndają.

— Niech pan powie, dlaczego ta woda jest gorąca?

Strzyk przez zęby. Niecierpliwe poruszenie ramion:

— Ano, wieziemy krwawym potem węgiel aż z Donbasu, a potem wodę rybkom ogrzewamy. Widzi pan, o, te sztuczki? To jest elektrownia, ja właśnie tam pracuję.

Istotnie o kilkaset metrów dalej widzę cztery kominy, wąskie u dołu, rozszerzające się ku górze, jak kominy lokomotyw dawnego typu.

— 55 proc. energii cieplnej odchodzi w tę przeklętą rzekę, a czyż to żarty? Na pieniądze to kosztuje cztery miliony rubli rocznie. Jeśli zaś dodać, że dalsze 25 proc. pochłaniają przewodniki, to okaże się, że tylko 20 proc. zmienia się w energję świetlną.

Mój rozmówca zaczyna mnie interesować. Już nieraz stwierdziłem, że robotnicy są do-

skonale nauczeni celów i zadań, którym służy ich warsztat pracy.

— Cóż, to smutna konieczność — mówię.

— To dawniej ludzie tak mówili. Tak samo za konieczność uważali, że... ogrzewają niebo. Niech się pan nie śmieje: kominy moskiewskie w chwili obecnej 68 proc. energii cieplnej wywalają w powietrze z dymem. A to jest marnowanie 2,5 milionów metrów drzewa rocznie, miliona ton węgla, 400.000 ton mazutu. Co pan zapisuje?

— Mówi pan ciekawe rzeczy, a ja jestem dziennikarzem z Warszawy.

— A ja jestem „kultrabotnik“ w elektrowni. Na naszym elektrycznym froncie dalej trwa rewolucja. Naszym burzujem, którego zwalczamy, jest prymus i piec; naszym wrogiem jest nie tylko marnotrawienie opału, ale i marnotrawienie pracy ludzkiej w domowym gospodarstwie. Tak i piszemy na wstęgach po naszych lokalach: „precz z prymusowem niewolnictwem“!

Do końca drugiej piatiletki poprostu zbu-

rzymy w Moskwie 500.000 pieców i 8.000 kotłów. Nasza fabryka przestanie się nazywać EC-Elektryczna Centrala, ale zacznie się nazywać C. E. C. — Ciepła Elektryczna Centrala. Zbudowaliśmy już cztery C. E. C., ale stosunkowo małe. Zbudujemy jeszcze sześć dużych. Obsłużą one ciepłą siecią 800 kilometrów. I wtedy nad całą Moskwą będzie dyć tylko 10 kominów.

— No, to przestaniecie opalać niebo, ale w dalszym ciągu będziecie opalać rzekę.

— Nigdy w życiu. Ty zauważ, obywatelu (w zapale mój rozmówca zjeżdża na ty), że to będzie ciepłno-elektryczna centrala. To znaczy, że gorąca woda, która teraz spływa do rzeki, będzie w temperaturze 130 stopni tłoczona do bojlerów i radiatorów. Już teraz, z temi naszymi czterema malutkimi stacyjkami, Moskwa zajmuje w ogrzewalnictwie ciepłym piąte miejsce w świecie. Detroit ma pierwsze miejsce w świecie, bo dochrapał się 75 klm. sieci, ale pracuje nad tem od pięćdziesięciu lat, a my zaczęliśmy w 1929. A za

cztery lata — my będziemy mieli 800 klm. Pokażcie mi wtedy Detroit. Oni będą przez te kilka lat męczyć się (*majatsia*) z jakimś kamicznikiem mister Johnsonem, żeby im pozwolił poprowadzić linię przez swoją posiadłość.

— Ale krwiopijca — prymus zostanie?

— Jakie tam zostanie! Czy nie słyszeliście, obywatelu, o Bobrikowskim kombinacie? A toż budujemy go pełną parą. Bobrikowski Kombinat budujemy pod Moskwą, ażeby dał gaz do wszystkich dziesięciu C. E. C. Ciągniemy rurę doprowadzającą na 235 klm. długą. Cholera, 50.000 metrów sześciennych metalu połknie (*uchłopajet*). Przejdzie dziewięćdziesiąt rzeczek i strumieni, 13 razy plant kolejowy i 21 razy szosę. Zechce robotnica „kipiatoczku“, pokręciła kurek — jest. Wanna — owszem, prosimy bardzo.

— Wychlastacie, bestje, wodę z całej rzeki Moskwy...

— Rzeka nam nie wystarczy. Przed wojną burżuazyjni inżynierowie przeznaczyli dla

przedmieść „wielbłądzą normę“, po dwa wiadra na osobę. Robimy teraz co możemy. Z sześćdziesięciu litrów na osobę podnieśliśmy normę wody do 128 litrów dziennie. Ale czyż to starczy? Pomyślcie obywatelu, że New-York zużywa 500 litrów na osobę dziennie. A Lenin kazał: „dogonić i przegonić kraje kapitalistyczne“.

— Więc co zrobicie?

— Całkiem poprostu. Z Wołgi wodę będziemy wlewać do rzeki Moskwy. Ale o kanał Wołga-Moskwa, to już pytajcie, obywatelu, innych. Ja wam mogę pobyczyć cyfry. Bo to mnie nie tyczy bezpośrednio.

Rozmawiając mijamy bramę jakiejś fabryki. Nad nią wielki czerwony napis: „Fabryka podpisała umowę o współzawodnictwie socjalistycznym z taką to fabryką“. Pod tem dwie tarcze: „Do dnia dzisiejszego wykonano 12 proc. planu“ oraz „We współzawodnictwie bierze udział brygad robotniczych 100 proc.; robotników indywidualnych — 94 proc.“.

Wchodzimy w ulicę Twerską. Na fronto-



My zrobiliśmy tyle...
 A wy?... (współza-
 wodnictwo fabryk).
 (Rys. Czerniak).

nach gmachów ogromnemi literami głośzą czerwone wstęgi: „Na siedemnasty Zjazd Kompartji wykończymy Metro!“. „Zbudujemy najlepsze w świecie Metro“. „Hańba czteromiljonowej Moskwie, że musi się tłoczyć w przepelnionych tramwajach!“

Staję przed witryną okna biura zarządu budowy Metro. Popularne napisy tłómaczą, że w ostatnim roku przed wojną przewoziły

tramwaje moskiewskie 257 milionów rocznie, że obecnie przewożą 1200 milionów i że czas z tem skończyć. Oto portrety szturmowców, robotników poszczególnych szybów budowy metra. Z fotografii patrzą dzielne, roześmiane twarze chłopaków i dziewcząt. Ich nazwiska podpisane są wielkimi literami.

Z twarzy ich bije zapał nowej wiary. To o takich pisał Tuwim:

*„Opuść, opuść z niebiosów miedziane przewodniki
A ja rękami je chwycę, o Wielki Motorniczy“.*

Więcej roboty, więcej pracy! intensywniej!

W 1935 budowa metro osiągnie apogeum. Wówczas kolumna aut ciężarowych, obsługująca budowę, będzie wynosić 1800. Dostarczy ich Moskiewska Fabryka Ciężarowców, która produkuje 25.000 ciężarowców rocznie. W tym roku metro zużyje 18.000 wagonów drzewa, półtora miliona beczek cementu, 4.000 pociągów po 50 wagonów różnych innych materiałów. Prędzej! Więcej! Prędzej!

I kiedy, nie znalazłszy wreszcie dorożkarza, jechałem do teatru uwieszony na platfo-

remce tramwaju, pomyślałem sobie, że może dlatego mnie tak uprzejmie przytrzymuje czyjaś nieznana ręka, bo jej właściciel wie, że za lat parę pojedzie sobie, wygodnie czytając gazetę. I przypomniałem sobie czytany jesienią tego roku artykuł Gibbsona Jarvey — „zdecydowanego kapitalisty i indywidualisty“ jak siebie sam określa — który mówi: „Zapewne to jest najważniejsze, że cała młodzież i robotnicy w Rosji rozporządzają wielką wartością, której, niestety, brak nam w krajach kapitalistycznych — nadzieją“.

Czy ta nadzieja jest usprawiedliwiona? Nie pojechałem do Rosji robić studjów ekonomicznych. Rozumiem, że cyfry mogą być zawodne. Ale trudno się oprzeć cyfrom, które tutaj, na miejscu w Moskwie, nasuwają się uwadze w rozmowach z robotnikami. Robotnik z fabryki rowerów opowiada, że już wyrabiają więcej rowerów, niż B. S. A., słynna fabryka angielska, zalewająca swoją produkcją świat. Z obrabiarek — że wyrabiają 3400 rocznie, gdy największa fabryka obrabiarek w Ame-

ryce w czasie największego „prosperity“ wyrabiała 2400. Z fabryki łożysk kulkowych — że wyrabiają 100.000 dziennie, gdy cała Europa razem wzięta — 120.000.

To są cyfry, tyżące Moskwy. Dosyć wziąć sprawozdanie Stalina o przebiegu pierwszej pięciolatki, żeby zobaczyć, że takie same tempo jest wszędzie. Ale toby wykroczyło poza ramy, do których czuję się powołany. Poza Moskwę, poza to, co tutaj widzę w rozmowach z ludźmi.

W teatrze, do którego bilet otrzymałem przez dziwne protekcje, łoże są pozajmowane przez szturmowców. Jak dawniej łoże w abonamencie należały do arystokracji i plutokracji, tak obecnie na nich wiszą napisy: „Łoża udarników fabryki X“.

Sąsiad, przy którym siedzę, okazuje się członkiem klubu sportowego „Dynamo“. Widziałem jego stadjon w dniu wczorajszym — drugi pod względem wielkości stadjon w świecie.

Pytam go o drogi wodne w S. S. R., chciał-

bym bowiem na przyszłe lato odbyć podróż kajakiem po Rzeczypospolitej Sowietów.

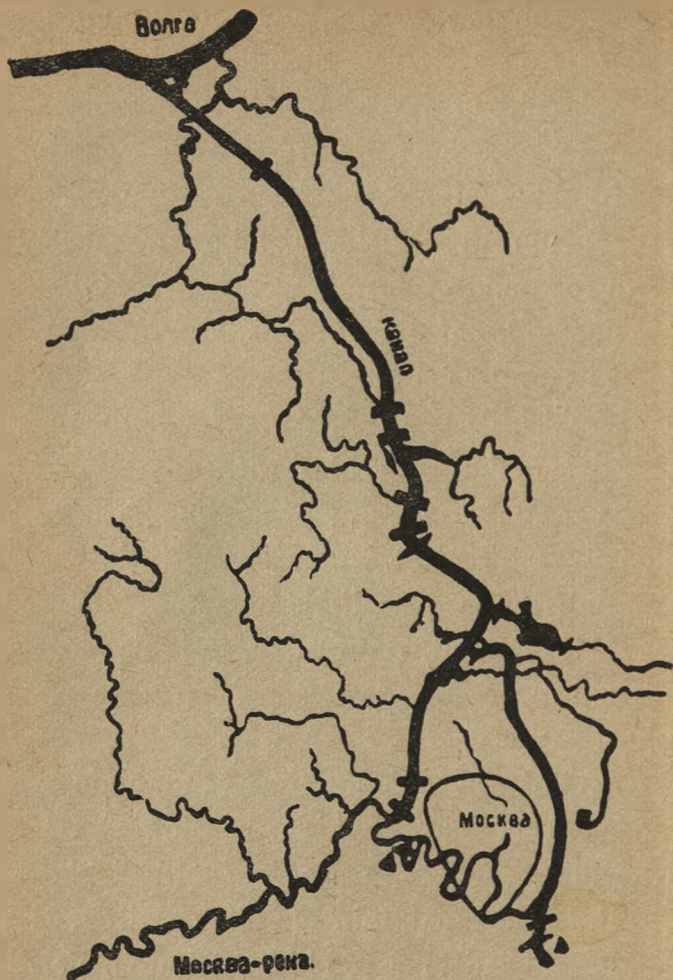
— Niech pan poczeka na kanał Wołga-Moskwa — powiada, — to pan sobie wygodnie z Moskwy spłynie.

Przypominam sobie, że już mi o tym kanale mówił robotnik z Centrali Elektrycznej. Okazuje się, że kanał przetnie płaskowyż Wałdajski i wprowadzi do Moskwy tyle wody Wołżańskiej, ile trzeba. Mówię, że wtedy już nie będzie braku wody Moskwie.

— Co tam wody — mówi z entuzjazmem młody sportowiec — wtedy okręty będą walić z Bałtyku na Kaspijskie i Czarne Morze.

— No, ale nim co do czego, to ja się może kajaczkiem po starodawnemu jaką rzeką zepchnę?

— A cóż pan sobie myśli — że to budowa Panamskiego, albo Suezkiego kanału? U was (rozczulające jest to „u was“) rekord szybkości dał Suezki kanał, tak? No to pan wiedz, że choć Suezki kanał ma 160 klm., ale zato mniejszą głębokość, a przecież kopaliście go



Kanał Moskwa-Wołga, który łącznie z gotowym już systemem kanału Bałtyk-Morze Białe, pozwoli z Moskwy dostać się wodą w każdy zakątek Rosji.

dziesięć lat. Nasz ma 128 kilometrów, ale w zeszłym roku go zaczęliśmy i w przyszłym 1934 skończymy.

Wstyd mi, naprawdę, za „mojego“ Lessepsa.

Czerwone transparenty z hasłami biegą wysoko wzdłuż pięt, aż po strop. Migają, tańczą białe litery na czerwonym tle. Siedzą w łóżach szturmowcy, jak żywe Buddy. Na sali czuć cikliwy wyziew wilgotnych walonków i niedomytych ciał obywateli sowieckich.

„Wielbłądzia norma“ wyziera z każdego kąta. Ale górą pali się las liter, splątanych w hasła, niby niezrozumiałe wersety alkoranu. Zamiast zieleni sztandaru proroka — czerwień.

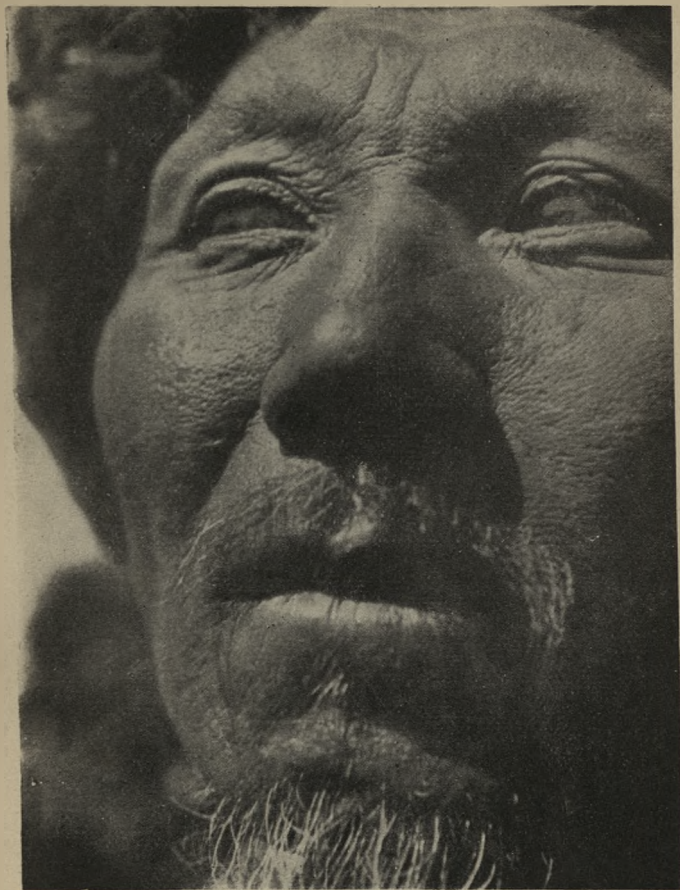
Więcej!... Prędzej!... Szybciej!...





»...Bogów jużesmy dawno przepędzili« (str. 113).

(Rysunek Czerniaka).



D. Debahow

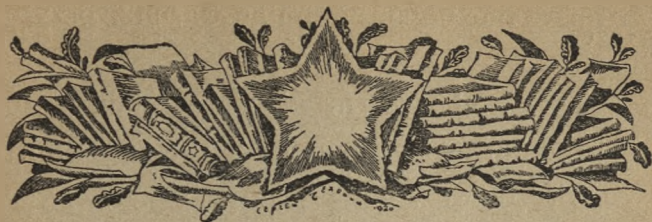
Kirgiz (ojciec)



D. Debabow

Kirgiz (syn)

PLOTKI... PLOTKI...



Jabłko, jabłuszko, gdzie się toczysz?
Wpadniesz do czeki, nie wyskoczysz...

(Popularna z czasów wojen domowych
piosenka „Jabłoczko“.).

Władze sowieckie wykazują dużą giętkość w rządzeniu krajem. Jak dowcipnie powiedział Berson Otmar, korespondent „Gazety Polskiej“, niezastąpiony Cicerone, restaurowałiby bez wahania monarchję, gdyby doszli do przekonania, że jest to niezbędny etap na drodze do dyktatury proletariatu.

Zawiało już wszelkie ślady Nepu, ale pozostali wszak w Moskwie liczni cudzoziemcy-specy. Hoduje ich władza sowiecka, jak egzotyczne, importowane zwierzęta. Daje im,

w miarę możliwości, naturalne warunki przyrodzone.

Siedzę pod kloszem wielkiej wspaniałej sali Metropolu, na dancingu, który stale ma miejsce wieczorem w wilję dnia wypoczynkowego. Pod tym kloszem roi się tłum zagranicznych speców. Przy bufecie pije się zagraniczne trunki, ma się rozumieć za zagraniczną walutę. Są nawet fortancerki w głęboko wyciętych dekoltach. Przypomina mi się ogród zoologiczny, w którym dla fok sprowadza się morskie ryby. Jedzenie, do którego przywykły w ojczyźnie. Sala pod kloszem Metropolu sprawia wrażenie jakiegoś terrarjum, do którego wpompowuje się powietrze pod innym ciśnieniem.

Towarzystwo, z którym przyszedłem, już wyszło. Siedzę na wysokim stołku przy barze i obserwuję, jak niezgrabnie dalsze peryferje stołków, zasiedlone przez autochtonów, usiłują wciągnąć się w zakazaną atmosferę.

— *Sind Sie auch Ausländer?* — pyta mój sąsiad. W ten sposób zawieram znajomość

z berlińczykiem, inżynierem, który już szósty rok siedzi w Sowietach. Ma się nieźle, chociaż mu przy każdym odnawianiu kontraktu pogarszają warunki. Doskonale mówi po rosyjsku, świetnie zna kraj, który przejeździł we wszystkich kierunkach. Rad jest, że może mówić z kimś po niemiecku. Rad jest, że może kupić u niego jakieś antyki. Skupuje to w wolnych chwilach. Ma kodeks Napoleona po polsku drukowany. Nie chcę? Ma szkatułkę z kości słoniowej, w której Paléologue ofiarował nieboszczce carowej Marji Teodorównie (wymawiane z nabożeństwem) kolję. Głupstwo kosztuje — 200 dolarów. I tego nie chcę?

Aby osłodzić odmowę, podlewam ten kwiatek kapitalistyczny, jak mogę, Martellem i niebawem jesteśmy przyjaciółmi.

Bęben z saksofonem zawarły układ o socjalistycznym współzawodnictwie. Wychodzimy wobec tego do hallu, gdzie rozsiadamy się w miękkich fotelach.

Jakaś piękność niesamowita robi powłóczy-czyste oko do mego towarzysza.

— *Ich habe kein Insnabbuch,¹ ich habe kein Pathephon* — oświadcza ten ni stąd ni zowąd. — Może pan w Rosji mieć każdą kobietę — zwierza mi się konfidencjonalnie — jeśli pan ma wolny czas, patefon i książeczkę zaopatrywania w żywność w sklepie cudzoziemskich specjalistów.

Istotnie, piękność przyjmuje do wiadomości oświadczenie i odchodzi. Nic już nie będę miał z mego inżyniera. Martell rozebrał go z kretesem.

Wychodzę na ulicę. Ulica Moskiewska nie ma prostytutek, nie ma żebraków, nie ma elegancko ubranych ludzi, nie ma nędzarzy, ma tylko ubogo ubraną publiczność. Wobec tego czegoż może chcieć ta dama, która zatrzymuje się, kiedy przechodzę jezdnię? Dama ma walonki na nogach i jakąś kombinację hełmu z nausznikami, który zasłania od mrozu całą twarz. Stwora ta chce najwyraźniej zawrzeć znajomość. Służę!

¹ Skrót: „Inostrancew Snabżenje“.

Jest to według wszelkiego prawdopodobieństwa, według burżuazyjnej terminologii „dziewczynka“. Z pod tej jakiejś, brrr... gazowej czy mrozowej maski wyglądają młode palące oczy. Walonki, hm... walonki też nie duże.

Nieboga miała pecha. Jakiś cudzoziemiec zaprosił ją do hotelu, a do hotelu portjer jej nie wpuścił. Cudzoziemiec bardzo żałował, ale cóż mógł poradzić? Dał jej na pocieszenie 10 rubli.

— Toście nie mogli pojechać do jakichś numerów? Do łaźni?

— Zabronione.

Ech wy czasy, ciężkie czasy! A przed wojną w łaźniach sandunowskich brodaci kupcy wynajmowali na godziny oddzielne apartamenty „z rybką“. Przyszedłszy raz tam z kolegami kąpać się demokratycznie na wspólnej sali, słyszałem, jak taki brodacz pouczał łaźiebneho:

— A ty, bracie, nie dzwoń, jak się godzina skończy. Cóż ty możesz wiedzieć — jak raz w ten czas może, można powiedzieć, sama właściwa poezja u mnie się zacznie? A ty, ordy-

narny człowieku — dzwonkiem znagła straszysz. Tak i apopleksji dostać można. Co ja tobie ośmiu rubli za następną godzinę nie zapłacę? Napłuć mi na twoje osiem rubli.

— No, to cóż robić? — pytam donny. Pójdziemy gdzie się pogrzać...

Ale wszystkie knajpy zamknięte. Jest jedna tylko na Arbacie, otwarta do szóstej rano.

Krótką prelekcja dorożkarza o cenach na owies i na siano. Wreszcie coś z dawnej Rosji. Izwozczik! Było ich pono 25.000. Teraz zostało 300. Są to jedyni „czastnicy“, a więc ludzie pracujący na siebie. Jedyni kapitaliści w S. S. R. i jako tacy jedyni ulegalizowani opozycjoniści.

Opowiadał mi pewien znajomy, że w Charkowie kazał się gdzieś zatrzymać dorożkarzowi w miejscu, w którym by mógł spłacić dług naturze. Dorożkarz nie wiedział, czy są takie miejsca. „Jakto, tyleście nabudowali“ — mówi pasażer. „No cóż — odpowiada dorożkarz — gigantów nabudowali, a s..ć niema gdzie“.



Karykatura sowiecka: »Socjal-zdrajca« Czernow ofiarowuje usługi rosyjskiej emigracji, patronowanej przez Focha.

Wściekły pęd zataczającymi się saneczkami. Jesteśmy przed „Arbatskim Podwalczykom“.

Brud, smród i pijani. W szatni przepchnąć się nie można. „Ot, zaraz zaczną bić się po mordach“, mówi nimfa. „Nad ranem tu się zawsze biją“.

— A nas bić nie będą?...

— Zależy...

Z ciężkiem sercem lazę za moją przewodniczką zapłutemi schodkami na górę. Po drodze łapią ją pijacy, ale się wysupłuje. W kąciku pod orkiestrą dają nam kiwający się stolik, karafkę wódki, kanapki z podłym kawio-rem i jakiegoś mięsiwa.

Moja towarzyszka usiłuje w całej pełni wykazać dobre maniere, ale widzę, jak łapczywem okiem spogląda na jedzenie. Daję jej dojsć do siebie, a tymczasem rozglądam się po sali.

Znam portowe knajpy Rotterdamu i Neapolu, do których wpływają wielkie Transoceaniki całego świata. Znam tawerny Vigo, Santander, Balbo, Coruny, drobne porty Francji, w których gromadzi się bractwo z c a r g o t s i z barek rybackich. W portach Hawanny piłem z murzynami koniak z trzciny cukrowej, w Vera Cruz po cyklonie, który zburzył dużą część portu, siedziałem w szopie, krytej liśćmi bambusowemi, i obserwowa-

łem, jak pijane ryżową wódką białe kobiety, a raczej jakieś resztki, jakieś widma białych kobiet, usiłowały sprzedać murzynom białą skórę, jedyną wartość — symbol, która im pozostała.

To jednak, co widziałem w *Arbatskom Podwalczykie*, to była bezstylowa obrzydliwość. Ani w nim nie szumiały oceany, ani zbrodnie, ani nawet rozpusta. Lisie gęby jakichś „prikazczykow“, moc hołoty ormiańskiej, gruzińskiej i jak się tam te wszystkie dzikoludy sowieckiego kotła zowią. Dziewczyny — proste robotnice, ale bez kokieteryj dziewczyn z ludu, ubrane ubogo i bez cienia pretensji do choćby ubogiej elegancji. Latające spojrzenia rzezimieszków i ciężki opar wypitej gorzałki. Raz wraz rozpoczynające się bijatyki zręcznie likwiduje służba, wyrzucając pijaków za kołnierz na ulicę.

Nie mogłem się połapać, co sprawia, że mnie ta knajpa nuży i nudzi.

We włóczęgach po świecie nauczyłem się czerpać wartości z wszelakich źródeł. Cóż lep-

szego była ta pijana Yvonne, tłusta pocieszna dziewczyna, w dekoltowanej fularowej sukni, z wielką kokardą we włosach i grubych wełnianych pończochach, która bawiła nas — mnie i gromadę żołnierzy z pancernika „Suffrein“ w Antwerpskiej tawernie? Gospodarz raz po raz nakręcał grającą szafę, a Yvonne wyczyniała pełne gracji piruety z młodym marynarzem. My, reszta, śmieliśmy się do rozpuku.

A przecież... zrozumiałem, że „Arbatskij Podwalczyk“ nie wypływa z naturalnego układu życia. Że jest on szpetną naroślą na organizmie bohaterskiego kraju, szpetną naroślą, w której ściekają resztki ropy — Katajewowscy „rastratcziki“. Że jest to — taki plebeju-szowski... Metropol.

Moja towarzyszka okazała się biedną, zapędzoną przez życie kobieciną, prawdziwie wdzięczną, skoro zrozumiała, że nie potrzebuje się wdzięczyc, mizdrzyć, sadzić na wesołość i opowiadać pieprzonych pseudo-kawałów, a mimo to dadzą jej się najeść dosyta. Pracuje

jako posługaczka w jakiejś stołówce robotniczej przy fabryce. Zarabia 60 rubli miesięcznie. Rubel odpowiada na czarnej giełdzie naszym 15 groszom, na oficjalnej naszym czterem złotym 40 groszy, co pozwala sowieckim broszurom agitacyjnym, przeliczając zarobki robotników w Polsce według kursu oficjalnego, wykazywać masom niesłychaną nędzę polskiego robotnika. Nie będę odpłacał bolszewikom pięknem za nadobne, nie będę przeliczał zarobków posługaczki według czarnej giełdy, bo jednak siła kupcza naszego złotego tutaj jest o wiele większa niż u nas w Polsce. Ale w każdym razie jest to niesłychanie mało. Nie dziwię się, że próbuje sobie dorobić. Ale raczej próbuje. Powiada, mimo, że jest niebrzydka dziewczyną, że nie ma amatorów. Czy dlatego, że o stosunek z kobietami jest łatwo i nie trzeba się uciekać do płatnej miłości? Ale przecież musi być sporo ludzi, których wiek lub szpetota musiałyby skazywać na korzystanie z prostytutki? Może nie mają pieniędzy. Nie wiem. Wiem tylko, że jedyna półprosty-

tutka, jaką w ciągu 7 dni napotkałem w Moskwie, nie miała klienteli.

Następnego dnia przeklinałem nocną turystykę po Moskwie, miałem bowiem ściśle wypełniony program, który wskutek zbyt późnego wstania poczynał się nie mieścić w nakreślonych ramkach. Nadto teatr dla dzieci o godz. 3-ciej przepalał cały program. Z tego powodu miały wyniknąć brzemiennie perypetje.

Zaprosiłem mianowicie na śniadanie w naszym hotelu pewnego dyplomatę sowieckiego, z którym ongiś przeplłynęliśmy 17 dni jednym okrętem. A ponieważ chciałem się nagaść, prosiłem go o przyjście już na pierwszą. Ustalonym od kilku dni trybem wracałem zaś zwykle na śniadanie o 2-giej. Nadto tego dnia zamówiłem auto na jazdę zamiejską, każdy więc, kogo moja skromna osoba mogła interesować, miałby pełne podstawy przypuszczać, że nie ujrzy mnie w hotelu przed drugą.

Przyjechałem na pierwszą, zastałem mego

gościa w hallu. Ogiś przez siedemnaście dni widziałem go w ciągu dnia w eleganckich garniturach tenisowych i spacerowych, wieczorem zaś w smokingu. Szampan był na dancingach wieczornych „obligatoir“ i obaj z panem posłem musieliśmy ulegać burżuazyjnym wymogom, z tą różnicą, że ja stawiałem jedną butelkę, a on nieboraczek, wysączywszy jedną w naszym burżujskim gronie, potem jeszcze jedną wydudlał ze służbą.

Teraz ledwom go poznał. Wspaniała rozłożysta broda, koszula czarna bez krawata i walonki za kolana... Poprosiłem go na salę i, zamówiwszy dania, poszedłem po książkę moją, którą mu miałem zadedykować. Portjer jednak nie miał klucza do mego numeru. Zdziwił mnie ten fakt i poszedłszy na pierwsze piętro, na którym zajmowałem numer, kazałem numerowemu otworzyć drzwi kluczem ogólnym.

Z tamtej strony drzwi... zastaliśmy jakiegoś typka w cyklistówce, który z tupetem dowodził, że pomylił się co do numeru. Kiedy so-

bie tego nie dałem wyperswadować, gentleman z miną bardzo autorytatywną oświadczył, że zaraz tu przyśle z dołu kogoś, kto wyjaśni mi cel jego wizyty.

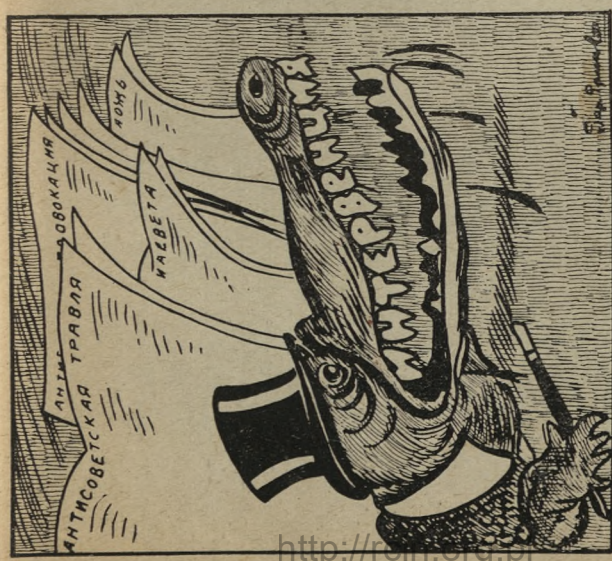
— Ani chybi... G. P. U. — pomyślałem i dałem memu „gościowi“ zejść na dół, kiwnąłem jednak na numerowego i bieглиśmy za nim. Widząc, że wpada w turniket, prowadzący na ulicę, złapaliśmy go za łeb i odprowadziliśmy do pokoju Dyrekcji. Młody człowiek usiadł z wielką pewnością siebie na kanapie i powiedział: „Proszę dzwonić do wydziału śledczego, to wszystko wyjaśni“.

— Dalibóg G. P. U. — pomyślałem i wycofałem się do hallu hotelowego. Mam miękkie serce i nikogo nie lubię zasypywać.

W hallu podszedł do mnie bardzo elegancki młody człowiek, porządnie wygolony, w kołnierzu z wydry i rzekł konfidencjonalnie:

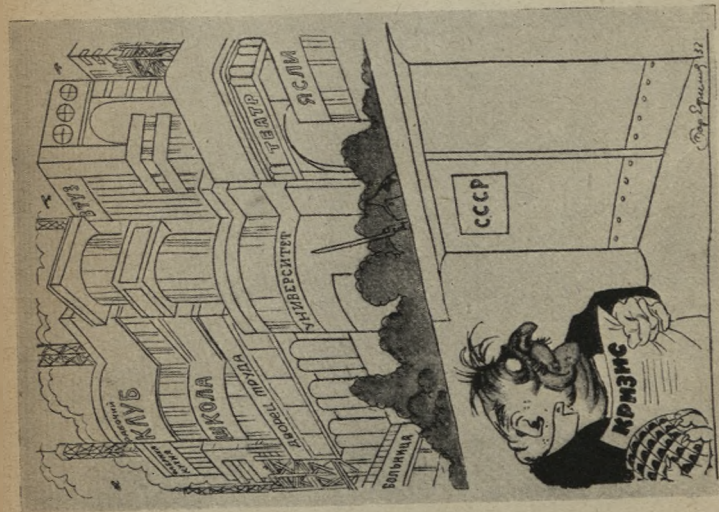
— Niech się pan nie niepokoi. To się u nas czasem zdarza. Ale ja panu gwarantuję, że nie przypadnie panu najdrobniejszy przedmiot.

Na takie dictum nie miałem nic innego do



»Hydra interwencji wyszczerza zgnile zęby...« Na napisanych przez »hydrę« kartkach widzimy napisy: »Judzenie przeciw sowiectom«, »Prowokacja«, »Oszczerstwo«, »Kłamstwo«.
(Karykatura Efimowa).

Na prawo: Intensywne podkarmianie do interwencji dolarami »białych orłów« zagranicą.



(Rys. Efmowa)
KAPITALISTA (zamierzając granatem wysadzić wejście do Rosji Sowieckiej): »Czuje, że to wejście byłoby dla mnie wyjściem z kryzysu«



(Rys. Efmowa)

UZBROJONY ROBOTNIK (wywożąc szturmiąc tego kapitalistę wraz z akcjami, dywidendami i t. p. na śmietnik: »Tak jest, wyjście znaleźliśmy!«

roboty, jak wrócić do mego gościa na sali. Wypiliśmy sobie pomaleńku, przekąsili, wyplęły przytem jakieś żale, że go spostponował jakimiś kąśliwemi kawałami przez radjo warszawskie, których on, biedulek, musiał w Moskwie bezbronnje wysłuchać (jakiż ten świat mały i jakież ze mnie zwierzę!), wypiliśmy wobec tego znowu, gdy nagle przybiega numerowy, prosząc, żebym sprawdził rzeczy, bo w numerze wszystko jest przewrócone do góry nogami.

Istotnie. Małej walizki nie ma „wewogóle“. Kufer-szafa wyciągnięty na środek pokoju i wypróżniony. Z nesesera powyrzucane wątpia i wciśnięty garnitur marynarkowy. Wiadać, że neseser miał być wyniesiony w drugą kolejkę.

No więc chyba nie G. P. U.?

Zdekoncertowany, pożegnałem się z moim gościem i pojechałem do teatru, ale po teatrze zaraz, a przed teatrem wieczornym zajechałem do wczoraj poznanego w Metropolu inżyniera — Niemca.

— I pan ma wątpliwości? — zadeklamo-
wał inżynier. Czyż Pan nie zauważył sam, że
w Moskwie hotele są strzeżone jak fortece?
Czyż jest możliwe, aby ktokolwiek bez wie-
dzy G. P. U. wślizgnął się do pańskiego po-
koju? A czyż pan nie widział, że na każdym
korytarzu, poza służbą bez liku, siedzi przy
stoliku stały obserwator?

— Ależ gdyby to była G. P. U., to by mi
nie zabrała rzeczy?

— Święta naiwności! Właśnie dla niepo-
znaki rzeczy panu zabrali. Chce pan? Zało-
żymy się, że wszystkie rzeczy co do jednej pan
zpowrotem otrzyma...

Zaczęliśmy rozmawiać o kraju, w którym
jesteśmy. Inżynier jest hitlerowiec i wypry-
chać jeszcze nie może oglądanego właśnie
wczoraj antyhitlerowskiego filmu. Proponuje,
abyśmy jaknajprędzej zabierali Ukrainę so-
wiecką z błogosławieństwem Hitlera, a za to
Niemcom oddali Pomorze.

Podziwiać trzeba dobroduszną głupotę,
z jaką Niemcy mówią o sprawie Pomorza.

Parę lat temu w bardzo poetycznym miejscu, bo na grobie Hamleta w Danji, mówiliśmy o tem z pewnym stolarzem z Drezna. Drezdeńczyk był nastrojony bardzo pojednawczo.

— *Na, na* — mówił, klepiąc mnie po ramieniu — *wir werden schon den Korridor kaufen.*

W danym wypadku zainteresowało mnie, jak może człowiek od lat pięciu mieszkający w Rosji przypuszczać, że tak łatwo będzie odebrać Ukrainę Sowietom. Gotów jestem zacząć rozumieć interwencjofobję sowiecką. „Na Ukrainie Sowieckiej nam mącą panowie typu lwowskich adwokatów — mówił do mnie jeden z wybitnych polityków bolszewickich. Ale my różnym adwokacikom Ukrainy nie damy. Budujemy na niej życie od korzenia, stwarzamy przemysł, którego nie miała. Masy ukraińskie będą za nami; a dla panów adwokatów, jeśli będą bruździć na terenie, mamy G. P. U.

Ale pan inżynier, powiedzmy, Hartman, nie ma żadnych wątpliwości, darowując Ni-

derlandy. Zdaniem jego eksperyment sowiecki nie jest nic wart. Inwestycje są przeprowadzane bez najmniejszej kalkulacji. Zakłady są nierentowne. Życia ludzkiego nie ceni się wcale. Jeśli powstają rzeczy wielkie, to właśnie dzięki zupełnemu szastaniu materiałem ludzkim. Przecież jeśli w stepie zakopać żywych ludzi, to grunt użyźni się świetnie. Ale czy można tak gospodarować na dłuższą metę?

Jako ilustrację swoich słów opowiedział następujące zdarzenie. W 1930 r. przyjechał jako ekspert do pewnego miasta w Tadżykistanie. Tadżykistan leży na granicy Afganistanu. Najlepsze lokum, jakie dla delegata się znalazło, to był domek na cmentarzu.

W 1930 r. władze sowieckie zabrały się do wprowadzania w Tadżykistanie plantacji bawełnianych. Ale miejscowa ludność chce jeść. Ale miejscowa ludność nie chce siać bawełny, którą jej odbiorą, tylko sieje zboże. Za to więzienia przepelniają się Tadżykami.

Przed wieczorem opowiadający widział, jak na cmentarz przyciągano uwięzane po-

wrozami za nogi trupy zmarłych w więzieniu. Trupy te pochowano w płytkim dole, ledwie przysypawszy ziemią. Zrana, wychodząc z domku, w którym miał lokum, potknął się o głowę ludzką. Przywlokły ją szakale, które w nocy odgrzebały i rozwłóczyły trupy.

Żegnając się, chciał mój rozmówca zapisać mój adres warszawski, ale zaklął. Dziś właśnie służąca jego pięknym Watermanem wbijała... pluskiewki w bibułę na biurku i Waterman pękł. Ma pan ich materiał ludzki.

Wróciwszy do numeru, przeglądałem „Magnitogorsk“ Standego i znalazłem tam taki ustęp:

„Inżynier niemiecki Hartman
„wie, co turbina i kocioł,
„niedarmo pracował lata,
„i zna je jak własną kieszeń,
„mógłby w kawałki je pociąć
„i znowu z powrotem zeszyć
„i wziął się do pracy szczerze
„myślał uczciwie i tępo
„honorem swej firmy mierzył
„rozmiar budowy i tempo.

„Ale w rachunku Hartmana,
„Ja go nie winię w tem wcale
„i w jego dokładnych planach
„były, — no właśnie te „ale“.

Do drzwi zapukano. To numerowy.

— Rzeczy pańskie się znalazły.

Dobrze, że się nie zakładałem z inżynierem
Hartmanem. Przynajmniej w tej sprawie...

Uf!... — alem się naplotkował. Gwoli tra-
dycji. Przecież być w Sowietach i nie naplot-
kować, to tak jakby na trzeźwo wracać z od-
pustu. Nie przyjęte.

Mam nadzieję, że nie zagraża mi to, co Lo-
catellemu.

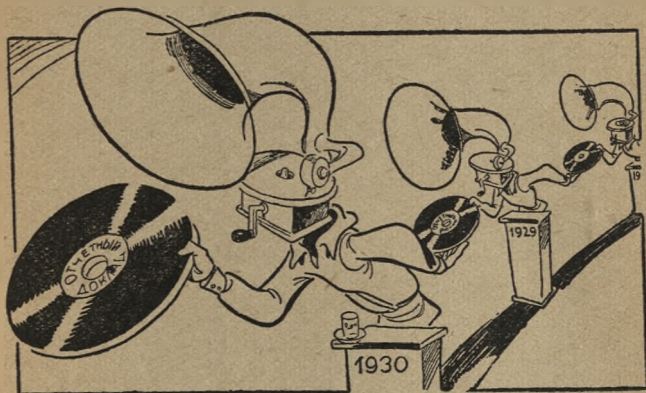
Hrabia Roquefort-Locatelli podróżował po
Rosji w 1735 r. i po powrocie w Londynie
wydał pamflet na Rosję.

Posel rosyjski, Kantemir, pisał:

„Dla ukarania onego jedyny pewny jest
sposób — podesławszy pewnych ludzi zbić go
samowolnym sądem i w razie jeśli Wasza Ce-

sarska Mość ten sposób aprobować raczy, to ja
ony przyprowadzę do wykonania“.

Ładny interes...



Rok w rok to samo w kółko...

(Karykatura Czerniaka).



(Rys. Efimowa).
Aniołek Ligi Narodów, rozbrojenie i kapitalistyczni pupile.

BŁĘDY
PARALAKTYCZNE



Każde zjawisko ma taki lub inny standard opinii. Nie można tego powiedzieć o opinii naszego społeczeństwa w sprawach Rosji Sowieckiej. Zapewne dlatego, że jej eksperymenty są oparte na zupełnie innym tworzywie, niż to na jakim przywykliśmy budować swoje wnioski, my, dzieci demokratycznego świata. W pierwszych latach Niepodległości ten standard dał się streścić do opowiadań o „krwawych siepaczach czerezwyczajki“. Obecnie wiemy o Sowietach wiele, ale nierównomiernie. Stąd wielkie błędy perspektywiczne.

Leukocyty kapitalistycznego organizmu wytwarzają antytoksynę bolszewicką jak mogą. Z tej antytoksyny da się wydzielić racje, którym w pewnej — mniejszej lub większej mierze — nie można odmówić słuszności.

Po powrocie moim z Rosji, każdy spotykany w tramwaju znajomy rozsiadał się z pytaniem: „No, i cóż tam w Rosji słyhać?“. Nie znoszę tego pytania. Jest to przerwianie kosztu intelektualnego rozmowy na rachunek pytanego. Mój znajomy fabrykant czekolady, pytany o wrażenia z Wystawy Paryskiej, na której miał stoisko, odpowiadał z niezmaconym spokojem: „Dropsy wszystkie poszły, a marcepanowych nieco zostało“. Miał rację. Bo albo masz zainteresowania określone, to je formułuj, albo nie masz, to lepiej puść gramofon, lub nastaw radjo i niech ci gra.

Dawniej jednak ludzie jakoś formułowali pytania o Rosji: czy prawda, że kobiety są socjalizowane? Że mięso ludzkie w okręgach głodowych ma ceny rynkowe?...

Zabawiłem się w cenzurowanego i zmuszałem do precyzowania pytań. Z tych pytań przebijał osąd. Pomijam eksklamacje, komunały. Sadzając Sowiety na cenzurowanem, obzedłem kilku ministrów, paru najwybitniejszych publicystów, nieco pisarzy, kupców,

przemysłowców. Tych ostatnich zresztą wyłączam — jakoś wszyscy byli w gruncie rzeczy bolszewikami. Rzekłbyś, rozprysnąwszy się od stanu obecnego nieuporządkowanego gospodarstwa światowego, obie strony — komuniści i superkapitaliści — oddalali się coraz dalej po obręczy koła, by, zrobiwszy każdy swoje 180 stopni, znowu się spotkać. Z głosów tych pozostałych i najpoważniejszych, oto jakie wyciągnąłem racje:

R a c j a n a j t a ń s z a: — bolszewicy genialnie umieją zaagitować swoich gości. Otrzymali to zresztą nietylko w spadku po pokoleniach partyjnych agitatorów, ale i po najcarosławniejszej Rosji, która zawsze lubiła, jak mówił podróżujący po Rosji w latach czterdziestych zeszłego stulecia Custine, „*enguirlander l'étranger*“.

R a c j a b e z w z g l ę d n a: powinniśmy, zachwycając się osiągnięciami Rosji, brać pod uwagę masztaby kraju, zajmującego tę część kontynentu. Wskutek tego masztabu zarówno plusy (ilość dokonanych prac), jak minusy

(ilość rozstrzelanych ludzi, czy zepsutych parowozów) musi wyglądać imponująco.

R a c j a n i e p o k o j ą c a: Cóż to trudnego, mając do dyspozycji 160 milionów niewolników, żadnych długów zewnętrznych ani wewnętrznych do płacenia, żadnych prywatnych praw, z którymi liczyć się należy, żadnej konkurencji wewnętrznej, kompletną możliwość planowości i koncentrowania planów — nabudować choćby nie po jednym, ale po 10 Magnitogorsków i Dnieprostrojów? Ale chodźmy—powiadają sceptycy—do rejonów nie objętych planem piatiletki, policzmy chociażby ile domów po miasteczkach przez te piętnaście lat przemieniło się w rudery. Podsumujmy te straty z jednej strony i te tam Dnieprostrojskie aktywa z drugiej, a wtedy zobaczymy, czy kapitalizacja wewnętrzna w tym kraju, rządzonym wszak przez największego kapitalistę globu ziemskiego — związek socjalistyczny — narastała, czy też ulegała skurczeniu?

R a c j a o b j e k t y w n a: Jakże można

mówić, że w Sowietach jest coraz lepiej, skoro uprzytomnimy sobie, co się dzieje na wsi rosyjskiej. Takiego bezmiaru cierpienia ludzkiego nie stworzyła żadna rewolucja, nawet lata 1918—1920 rewolucji rosyjskiej.

R a c j a s u b j e k t y w n a: Co za straszne cofnięcie się poziomu życia do stanu półzwierzęcego! Cóż za straszne warunki mieszkaniowe, jaki prymitywny brak kultury w ubraaniu, jakież ohydne jedzenie, co za nędzarskie zarobki, co za straszliwe kleszcze, w których żyje myśl ludzka! Powietrza, powietrza, — bo się ludzie tam zatchną ze swemi zdobyczami technicznymi.

R a c j a a d a b s u r d u m: Czyż można pracować bez bodźca osobistego? Czemże taka praca różni się od niewolnictwa? Czyż na takiej pracy może się *à la longue* bazować rozwój ekonomiczny? Przecież nawet carska Rosja właśnie ze względów ekonomicznych, nie zaś politycznych, musiała znieść pańszczyznę.

* * *

Zróbmyż jakieś cięcie cesarskie z temi racjami, bo z nich nie wybrniemy, zwłaszcza, że to jest taki wybór racji, że to jest taka gwardja przeciwsowieckich argumentów, że, p o w i e d z m y, wszystko to są ważne racje.

Najgenjalniejsza propaganda nie skryłaby prawdy od świata, który od lat piętnastu przez takie setki i tysiące swoich badaczy przygląda się eksperymentowi sowieckiemu. *Masztab duży — to na bilans nie wpływa*, skoro równie duże są pozycje po stronie biernej i czynnej. Cierpienia wsi rosyjskiej — ależ musimy zdawać sobie z tego sprawę, że *w latach 1928—1932 odbyła się w Rosji potężna rewolucja, stokroć większa, niż rewolucja październikowa*. Przecież w czasie tych lat niszczone, z korzeniami wyrwane z gruntu wielomiljonową silną warstwę posiadaczy chłopskich, których tolerowanie byłoby tolerowaniem instynktów posiadania. *A jakaż rewolucja obywa się bez cierpień?*

A na rację „niepokojącą“, na rację „subiek-



E. Debabow

TRAKTOR I SZKAPA

»Całe życie Rosji pędzi od lasu, w którym śpiewają ptaki, do tartaku...« (str. 204).



G. Zelma

NOWI JAKUCI

»Patrzyłem jak urzeczony w te niemożliwe pyski jakuckie...« (str. 183).

tywną“ i na rację „ad absurdum“ postaramy się odpowiedzieć w kupie.

Do jakiej uciec się tu metody? Istotnie, na wszystkie zdobycze techniczne sowieckie można powiedzieć: „A zostawiłem ciotkę w Eli-sawetgradzie; ta ciocia mi pisze, że nasz dom całkiem już zmurszał, ściany pękają, dachy ciekną i nikt remontu nie robi. Policz no pan te ciotki“. Wielka racja! Ale jak je policzyć? A jakoś tak utknąć na tych ciotkach i przestać rozmowy nie możemy. Trzeba jakoś sobie radzić. Ja poradziłem sobie w ten sposób w artykułach, które drukowałem o Rosji, że *jako miernik wziąłem człowieka*. Obywatel, płacący podatki, ponoszący ciężary, robi co dzień w sobie bilans netto otaczającej go rzeczywistości. Taki bilans przeciętnego obywatela jest zwykle fryzowany debetowo, bo ma tendencję pozycją inwestycji obciążać koszta handlowe, podczas gdy prawidłowy rachunek zalicza inwestycje do zysków. Skoro więc ten przeciętny obywatel nawet wierzy w to, co się robi w Rosji, i skoro stwierdza, że jednak jego

położenie się poprawia, to jednak tam zapewne *strata na ciocinych rozwalonych domkach w sumie widać jest mniejsza, niż zysk, który przyniosła, może nieumiejężtna i nieuporządkowana, ale pełna zaparcia się siebie piętnastoletnia praca.*

Możemy wziąć jeszcze jeden pośredni miernik — *wzrost zarobków. Od 1928 r. wzrosły one o 85 proc., we wzroście płac, a o 29 proc. we wzroście świadczeń społecznych.* Mimo to zapytywani przezemnie robotnicy stwierdzali, że mieszkają lepiej niż za carskich czasów, ale odżywiają się wciąż jeszcze gorzej (coprawda rozmawiałem z wykwalifikowanymi robotnikami). Świadczy to tylko, *z jak wielkiego dna samozaparcia zwolna dźwiga te masy plan pięcioletni.* A przecież leitmotiwem życia w Rosji są słowa Lenina: „powinniśmy wytepić w sobie wszelkie ślady zbytku“, a przecież *całe nastawienie jest nie na człowieka (t y m c z a s e m), ale na spełnienie zadania wszelkim kosztem pokolenia, które żyje.* Czyżby więc następowało polepszenie losów poszczególnego

obywatela, gdyby bilans ogólny nie kształtował się dodatnio?

Ja myślę, że nie te wszystkie racje, ale *subiektywne nastawienie jest głównem źródłem antysowieckich objekcyj*. Zwiedzałem dom studentów z piękną panią. Obejrzała ciasne biedne pokoiki, w których stały powyginane, tandetne łóżka z żelaznych prętów. Patrzyłem jak urzeczony w te niemożliwe pyski jakuckie, uzbeskie, tadżykijskie, które podnosiły się na nasze spotkanie.¹

— No, tem nie mają się co chwalić — powiedziała moja towarzyszka. Myślała zapewne o swoim mieszkaniu, a może o naszych domach akademickich, które mają się podciągać do jej mieszkania, w których hodują się przyszli mecenasi i konsyljarze. Ja zaś myślałem o ałusach, o kiszlakach, o jurtach, odległych o setki i setki wiorst od najbliższej stacji kolejowej.

— Jakże to jest, że Panu może się ten od-

¹ Ilustr. str. 180.

rapany dom podobać? Po to pan przyjechał do Moskwy, by takie koszary zobaczyć? Przecież, chyba, możemy mieć wspólny język dla ustalenia pojęć zasadniczych?

— Niewątpliwie go znajdziemy, ale wniesmy poprawkę „błędu paralaktycznego“.

— Cóż to za nowa mądrość?

— Przypadkiem pamiętam to z fizyki, bo właśnie z tego nieszczęsnego błędu kiedyś otrzymałem dwóję. A jest łatwy do zrozumienia: jeśli pani stoi z prawej strony zegara, to wydaje się pani, że jeszcze niema, dajmy na to, ósmej, że jest dopiero dwie minuty do ósmej; w tymże czasie dla mnie, stojącego z lewej strony zegara, będzie się wydawało, że jego wskazówka już przeszła godzinę dwunastą i już pokazuje dwie minuty po ósmej.

— To znaczy, że nie możemy wyzwoić oceny zjawisk społecznych od subiektywnego widzimi się.

— Niewątpliwie tak, tylko że to widzimi się nie jest nastrojem nieuchwytnym, ale ma określone wymiary, które wyliczyć nie jest tak

trudno. Nie bawmy się w metafizykę. Co się Pani nie podoba? Że ciasno mieszkają? Że inteligentom odmierzają nie pokoje, ale metry kwadratowe? Obliczmyż sobie pani błąd paralaktyczny.

W tej samej Moskwie, w której teraz jesteśmy, przed wojną, według statystyki 1912 r. mieszkało 300.000 robotników w 26.788 izbach, a więc po 11 ludzi na izbę. Czy nie zgodzi się Pani ze mną, że jednak oni nieco inaczej patrzą na maximum „żyłpłuszczadi“ od strony tych 11 osób na izbę, niż pani od strony swego „małego skromnego mieszkanka, które przecież jest mieszkaniem człowieka pracującego“? A przecież ilu ich gnieździło się, plując na wszelką statystykę, po warsztatach bezpośrednio, po szopach mniejszych wytwórni, w których zostawali na noc, po stajniach, drwalniach i innych miejscach, nie uchodzących za „izbę“ i nie podlegających statystyce? Po rewolucji w tej tu Moskwie wkwaterowano pół miliona obdartej „hołoty“ do burżujskich mieszkań. Obecnie w t. zw. dru-

giej strefie koncentracyjnej Moskwy, w śródmieściu, mieszkają robotnicy, gdy przed wojną ta strefa liczyła 3 proc. ludności robotniczej, tyle zapewne, ile starczyło na stróży. Otrzymali 6 mtr. kwadr. na człowieka! Czyż nie raj? Czyż nie raj dla ludzi, którzy na 520.000 przed wojną żyjących „kątem“ mieli 285.000 tapczanów, bo zwykle tapczan był wynajmowany na zmianę nocną i dzienną? Pamiętam przed wojną Chitrow Rynok, na którym pokotem leżeli nędzarze. Niema go teraz. Pani mówi, że publiczność jest straszliwie biednie, straszliwie jednostajnie, straszliwie szaro ubrana? Ale ja tych łachmanów nigdzie nie widzę, jak nie widzę prostytutki, ropiejącego produktu nędzy. Ja wiem, że dla nas by strasznie ciężko było wyżyć w tej atmosferze. Chybabym się udusił. Ale nie dla nich. Oni z innej strony zegara stali, łaskawa pani, z innej strony zegara. Otóż widzi pani, teraz się zeszli — i te górne dziesięć tysięcy i te miliony. I znikł błąd paralaktyczny.

Jest sobie, ot, choćby w Londynie, West End,

dzielnica ludzi bogatych, w której ludzie przeciętnie żyją 55 lat, a śmiertelność dzieci wynosi 18 proc., i East End, dzielnica ludzi biednych, której obywatele żyją przeciętnie 30 lat, w której 15 proc. dzieci rodzi się nieżywych, a śmiertelność dziecięca wynosi 55 proc. Czyż jednak obywatele tej i tamtej dzielnicy nie patrzą z różnych punktów widzenia na 6 metrów kwadratowych Moskwy, czy nie leży między nimi błąd paralaktyczny?

Zwolennicy „racji subiektywnej“ wołają „powietrza!“, biorąc pod uwagę ten stan powszechnego, *niczem nieurozmaiconego ubóstwa*. Zda się, chcieliby powiedzieć, że już nawet nędzarza dusza raczej się rozprostuje, jeśli nawet nie będzie miał owych sakramentalnych sześciu metrów mieszkalnych, ale jeśli będzie mógł patrzeć na światło bijące z obszer-nych pałaców. Będzie miał o czym marzyć! Lepsza nierówność społeczna, dająca jakiegokolwiek nadzieje, niż ten straszny dławiący standard, niż ten sztrychulec.

Sztrychulec to ciężka rzecz, wtedy, kiedy

skazuje człowieka na wieczny bezwład. Nie ma bardziej melancholijnej formułki w języku ludzkim, jak słowa: „Wiecznie to samo!“ Jednak w *Sowietach istnieje kinetyka o dużym napięciu.* Jeśli idzie o język cyfr w dziedzinie poruszonej już przez nas — budownictwa mieszkaniowego, to w 1925 r. wybudowano w Moskwie 30 tys. izb, w 1926 — 53 tys., w 1927 — 70 tys., w 1928—78 tys., w 1930—105 tys., w 1931 — 200 tys.

W Warszawie w 1930 zbudowano 9.557 izb, w 1931 — 6.777, w 1932 — 3.486, w 1933 — 2.784. Żałuję, że z tych ostatnich dwu lat nie mam danych z Rosji, bo mam pod ręką nieco już stare niemieckie źródła. Ale wiem, że progresja szła dalej.

Może jednak ta kinetyka okupuje w oczach mas brak różnolitych wrażeń i marzeń. I to tembardziej, miły Boże, że to opowiadanie o chłopcu z zapalkami, który się stał miljonem, to jest najordynarniejszy błąd paralaktyczny, jaki popełniają syci inteligenci, patrząc na możliwości proletariatu. Tych inteli-

gentów razi standard ubóstwa. Czyż u nas wielkiej części ludności nie gniecie standard, ale już nie ubóstwa, lecz n ę d z y? I czyż ten nasz standard nie jest s t a t y c z n y, pozbawiony wszelkiej nadziei — chyba w dół...

*Ten sam błąd paralaktyczny dyktuje również przesłanki wniosków, że praca, nieoparta na zysku osobistym, rozwali się wreszcie z braku bodźców wewnętrznych. Powiedzmy sobie, że w ustroju wolnej konkurencji i innych kapitalistycznych metod wcale zysk osobisty nie grał takiej roli, jakby się nam wydało z naszych paralaktycznych wyżyn inteligenckich. Robotnik niewykwalifikowany pracował, aby otrzymać ściśle najkonieczniejsze *Existenzminimum* i wszelką nadwyżkę system mu niezwłocznie zabierał. Przykro to pisać tego rodzaju wyświechtane A. B. C., ale niech ci się za to na mnie obrażą, którzy nigdy nie szermowali temi argumentami przeciw sowieckiej Rosji. Nie widzę, jakie bodźce więcej ma jakiś nasz woźnica, niż sowiecki. I jeden i drugi za swoją pracę otrzymują swoje *Exi-**

stenzminimum, z tą różnicą, że sowieckiemu woźnicy się jednak co rok lepiej dzieć zaczyna, a nasz wciąż drży przed utratą pracy.

Ile zarabia robotnik sowiecki? Trudno to określić. Co weźmiemy za miernik, skoro waluty określonej niema, skoro ogromną część zarobku otrzymuje w naturze i w świadczeniach? Rozmawiałem z szeregiem robotników — zwłaszcza dobrze się z nimi mówi o ich osobistych sprawach materialnych w Zagsie — urządzie ślubów i rozwodów. Na registrację trzeba długo nieraz czekać i tam to młode parki z zapalem wtajemniczały mnie w arkana swojego budżetu. Tyle tylko zrozumiałem, że jest bryndza, ubóstwo kompletne, że kobieta musi zarabiać jak i mężczyzna, bo się budżetu nie skleci. Zarabia tyle samo, a ponadto ma osiem tygodni płatnych za urlop przedporodowy i osiem tygodni za urlop poporodowy.

A ile zarabiają — żeby tak uzmysłwić polskiemu czytelnikowi — nie potrafię powiedzieć. Przeciętnie 200—250 rb. miesięcznie.

Co to jest 250 rb. miesięcznie? Jeśli przetłómaczyć to według urzędowego kursu, jaki płaci za złote Torgsin, wyniesie to 1.150 zł., jeśli według czarnej giełdy—35 zł., a w gruncie rzeczy nie jest ta płaca ani tem ani tamtem, a licho wie czem trzeciem, skoro zważymy, że za swoją pensję kupuje pracownik różne rzeczy po normowanych cenach i skoro zważymy, że zarobek pieniężny robotnika stanowi tylko część jego istotnych zarobków, regulowanych w znacznej mierze świadczeniami w naturze.

Jak w dziedzinie mieszkaniowej, jak i w każdej innej, tak i w sprawie zarobków — bynajmniej nie jest „nudno“. Nie mówię już o tym rozbudzonym do granic histerycznych *kulcie pracy*, o *kulcie „udarników“*, o usiłowaniu wytworzenia *arystokracji pracy*. W tem poraniu się z inercją mas, z wiekowym lenistwem i bezwładem jest i tragedia wielkości w jej krwawym wysiłku i groteska codziennego dnia. Nie mówię już o coraz wyraźniej zarysowujących się widokach poprawy

zarobków, o czym pisałem wyżej. Ale i w dziedzinie czysto materialnego zadowolenia w chwili obecnej, bynajmniej nie mamy potępionej już „urawniłowki“. Jeśli weźmiemy wynagrodzenie najniższe niekwalifikowanego robotnika za 100, to rozpięcie płac będzie się przedstawiało jak następuje:

| | |
|----------------------------|--------------------------|
| Robotnicy niekwalifikowani | 100; 120; 150; 180; |
| Robotnicy kwalifikowani | 220; 250; 280; 310; 350; |
| Specjaliści niżsi | 420; 460; 500; 550; |
| Specjaliści wyżsi | 620; 670; 720; 800; |

Widzimy więc, że rozpiętość cen jest ośmiokrotna (o ile nie chodzi o komunistę, który nie ma prawa zarabiać ponad „*partmaximum*“).

* * *

Jeśli pod wpływem takich i innych cyfr oczy zachodniego człowieka zaczną się nastawiać na rzeczywistość sowiecką (jest on narażony jak noworodek z nienastawionym

wzrokiem), jeśli wyłonią się oczom jego właściwe proporcje i właściwe kształty, to jeszcze zostanie niepokojący koloryt, koloryt, do którego człowiekowi z drugiej strony barykady nie jest się łatwo przystosować.

Skoro nietylko należy nastawić wzrok na kształt, ale i na koloryt, to znaczy istnieją i dwie współdopełniające się metody poznawania rzeczywistości sowieckiej. Czasem zaczynamy poznawać ją od kształtów t. zn. od cyfr. Jest to las, w którym potykamy się o pierwszy lepszy domek jakiejś ciotki w Elisawetgradzie. Nic niema tak zwodnego jak cyfra. Jeśli wyżej rzuciłem parę cyfr, to tylko jako wykładnik myśli, jako jej uproszczenie, jako jej uprzystępnienie, nie zaś jako niezbite tej myśli uzasadnienie. To też radzę szczerze *poznawać wpierw koloryt życia w Sowietach*, zanim się życia tego kształty określać zacznie.

Robi się to zwykle, albo tak jak ja próbowałem — przez spojrzenie w oczy przeciętnego człowieka, albo, skoro nie ma się mo-

żności pojechać do Sowietów — przez literaturę.

O literaturze tej mówi się, że jest na usługach Sowietów, więc nie zasługuje na wiarę. Podchodziłem też ją z początku ostrożnie i po prokuratorsku. Biegłem do kina demonstrującego obraz sowiecki, aby sprawdzić, o ile wersja obrazu odbiega od tejże wersji podanej w książce. Konfrontowałem książki, wycinki spraw. Naprzykład o Tadżykistanie książkę bolszewicką Jasińskiego (autora pieśni o Szeli i „Palę Paryż“) p. t. „Człowiek zmienia skórę“, Polaka Janty-Połczyńskiego i Niemca Kischa. Ich wrażenia — ludzi z różnych środowisk, o różnej kulturze, o różnym podejściu do tematu i o różnorodnym zasięgu formy pisania — pokrywały się zupełnie z sobą, jak wycinanki angielskiej „Puzzle“.

Wtedy coraz głębiej, coraz ufniej zacząłem wnikać w ten kraj tak różny, zaklęty w tej tak różnej, tak bogatej literaturze. Przeczytałem „Cement“ Gładkowa — dzieje twardego trudu przy odbudowywaniu od podstaw zni-

szczonego przemysłu, dzieje trudu szeregowego robociarza rosyjskiego — i znowu nie wierzyłem i znów sprawdzałem u cudzoziemców, gorzej niż u cudzoziemców piszących o Rosji, bo u Rosjan — emigrantów.

Istnieje książka, (którą pożyczyłem komuś i nazwiska autorki zapomniałem chwilowo) austriackiej dziennikarki p. t. „*Die Frau erlebt den roten Alltag*“. Otóż owa kobieta, która „przeżywała czerwony dzień powszedni“, pracowała pół roku przy tokarce w fabryce „*Krasnyj Putiłowiec*“. Jej spostrzeżenia są pełne podziwu dla dyscypliny moralnej, którą przejęte są młode robotnice. Zaniedbanie jednego dnia pracy przez austriaczkę stwarza koło niej lodowatą atmosferę. Niewyrobienie normy, to hańba.

Ostatnio dużo narobiła hałasu zagranicą wielka trzytomowa rzecz na z górą tysiącu stronach niejakiej Ali Rachmanowej. Jest to pamiętnik, pisany dzień po dniu w latach 1917 do 1924 przez młodą Rosjankę, córkę zamożnego lekarza, która wychodzi zamąż za jeńca

austrjackiego i pracuje wraz z nim szereg lat naukowo na uniwersytecie sowieckim, nim nie zostają wydalenii z granic sowieków. Książka cała tchnie nienawiścią do chamstwa duchowego, którego młoda subtelna dziewczyna nie może strawić, do nieuctwa, do metod partyjnych, do okrucieństwa, do nieliczenia się z człowiekiem. A przecież właśnie w tej książce tak, jak nigdzie, widać *ponury ogień, który goreje w tych ludziach rewolucji, ogień spalający wszystko.*

— Wciąż się trzymasz matki za spódnice— mówi piętnastoletnia pionierka do ośmioletniego braciszka, — zamiast budować socjalizm.

Po nieopalonych lokalach, przy niedostatecznym oświetleniu, gromadzą się na nędzne siesty niedobitki nauki rosyjskiej. Autorka zapisuje ich słowa— gorzkie słowa ludzi, dla których ginie świat ukochany przez nich. Tamci, za oknami to brudasy, gwałciciele i głupcy. Cała sympatja autorki jest po tej stronie. A przecież nie możemy być z tymi

ludźmi, dzielącymi czas między staniem w ogonku i biadania. I czujemy, jak za parawanem słów nienawistnych autorki *rosną nowe siły*, czujemy ich mozoł i ich stawanie się.

I wtedy... już z całą ufnością podchodzimy do tego nowego człowieka. Jędziemy stepami, stepami, stepami Artioma Wiesiołego, kończymy wojnę domową, zsiadamy z nim razem z kulbaki, w fabryce już z Gładkowem byliśmy, idziemy z Szołochowem na wieś. Patrzymy z zapartym tchem, jak *lśniące ostrze reformy kolektywistycznej odwala zależały wiekami czarnoziem dusz ludzkich. Paruje krew*. Wniwecz idą ludzkie życia, ludzkie istnienia. Jakże to byś się zachowała, biedoto polska z Borynowej wsi? Ci tam, to nie ludzie, a jacyś szernowie, niemający ludzkich uczuć.

Dymi krew, kurzy się rozwalona do trzewi prawieczna calina. Jęk idzie nad stepem, splata się pod stropami niebios w drugi strop, w wielką potworną czapkę Monomacha —

Cierpienia. *Staje zakon dziwnych ludzi, surowy zakon.*

Jakież to tego zakonu prawa, jaka jego reguła?

— Muszę na prawo i na lewo od siebie czuć bliskość jakiegoś ramienia. Muszę mieć kogoś, kto mi rozkazuje. Muszę czuć rzemień, opasujący moje Ja — mówi bohater sztuki Kirszona „Chleb“. — Idę wraz z wszystkimi i wraz z wszystkimi umieram. Walczę za partję. Jestem jej żołnierzem.

* * *

Do wszystkich racyj, przytoczonych na wstępie tego rozdziału, należałoby dodać jeszcze jedną: *wiele z cech, które przypisujemy nowemu wychowaniu człowieka w Rosji, zawdzięcza ten człowiek nie rewolucji, ale swemu charakterowi narodowemu.* Istotnie, słowa przytoczone, poza swoją ogromnie idealistyczną i nawet zachodnio-europejską terminologją, kryją *odwieczny instynkt gromadzki*

narodu o nadzwyczaj silnie rozwiniętym instynkcie państwowym. Nie będzie tu na miejscu podnoszenie, tylokrotnie przez publicystykę i literaturę polską rozważanej kwestji, dwoistego charakteru Rosjanina, połączenia twardości i bezwzględności, podporządkowywania wszystkiego dobru państwa z zupełnem wyeliminowaniem praw jednostki i, z drugiej strony, tego „naplewiastwa“, które jest jakby odprężaniem się („otwiesci duszu“) do nowego skoku. Rewolucja rosyjska w sposób maksymalny wzmaga te rosyjsko-mongolskie państwowe tradycje. Człowiek nie znaczy nic. I zabawnie jest, kiedy zachodnio-europejski, nie mongol, nie słowianin i nawet nie aryjczyk, importowany z Paryża, recte z Galicji, przed pięciu laty — Bruno Jasieński, ściślej — Zusman, raptem oto w swojej zresztą całkiem dobrej powieści ni z tego ni z owego wtrąca taki oto kawałek z jakiejś niby „Biednej Lizy“ sowieckiego neo-Karamzina:

Olbrzymie przestrzenie Tadżykistanu zaplantowano pod bawełnę. Ale bawełna wy-

maga wilgoci. Dlatego w idealnie odpowiednim klimacie Tadżykistanu nie można jej było hodować. Pędząc z pieca na łeb, z planem pięcioletnim nie poczekano na wykopanie głównego kanału, a kopiąc go, równocześnie porobiono bawełniane inwestycje. Tymczasem kanał „nie chce“ się kopać tak, jak przewidywał pięcioletni plan; prace się opóźniają. Książka Jasieńskiego daje piękne obrazy poświęcenia, posuniętego do ostatecznych granic. Historja „tempa“. Bohaterskie śmierci w służbie umiłowanej „idée fixe“—dać w czas wodę polom Tadżikistanu. Młody amerykański inżynier zaraża się tem bohaterstwem dnia codziennego, walką o dobrobyt Tadżikistanu i wyzwolenie mas głodujących Tadżików i Uzbeków, samowystarczalność Sowieków i t. d. i t. d.

Nagle usuwa się ziemia ze ścian zbyt stromo kopanego parowu i zasypuje robotnika. Naczelnny kierownik, nie żaden tam sabotażowy spec, jeno najczystszej wody komunista, każe wszystkie roboty wstrzymać i zabrać się do

zrobienia na przestrzeni iluś tam kilometrów stoków wąwozu mniej stromemi, to znaczy wybrać ileś tam milionów sześciennych metrów ziemi, to znaczy oddalić o miesiąc puszczanie wody, to znaczy zaprzepaścić wkłady, zniszczyć tysiące hektarów bawełny, opóźnić plan bawełniany o rok, to znaczy zawalić piatiletkę, której członki są związane ze sobą w ścisłej współzależności. Naturalnie inżynier Amerykanin mówi, że należy pracować w dawnych warunkach, podaje sposoby, mogące znacznie zmniejszyć ryzyko. „Przecież jesteśmy na froncie ekonomicznym“ — mówi — „a na froncie muszą być ofiary“... „Ofiary“ te, różne tam dzikoludy azjatyckie stoją tuż dłubiąc w nosie i na rozkaz autora w odpowiednich miejscach wybuchają entuzjazmem, nawet grożąc strajkiem, o ile kierownictwo robót zacznie roboty ubezpieczające, zamiast dalszego tempa budowy kanału. Ale w tem miejscu kierownik robót (onże Zushman) wygłasza oszałamiającą filipikę — jak

to cenna jest dla związku sowieckiego każda kropla krwi proletarjackiej.

Słucha zdumiony inżynier amerykański, słuchałby zapewne zdumiony Lenin i długi szereg jego przodków duchowych, przez Piotra Wielkiego po przez Iwana Groźnego aż do chitreńskiego „zbieracza ziemi rosyjskiej“, Iwana Kality. Co też ten Zusman (mniejsza o to, że Jasiński) za towar ideowy tu kolportuje — direct od Michalika?

Nie, b l i ż e j p r a w d y wyłożony jest pogląd na człowieka w scenicznej przeróbce „Naszej młodzieży“ Kina. Młody komsomolec jedzie ze zleceniami partyjnemi „ciepluszką“, wagonem towarowym, w którym znajduje się młoda dziewczyna. Współtowarzysze podróży pragną ją zgwałcić, chłopak staje w jej obronie i zostaje wyrzucony z pociągu, przez co opóźnia swoje przybycie.

— Idjoto, romantyku — zbawco cnoty! — mentoruje go jego towarzysz. — Człowiek kosztuje niewiele i nie wolno troszczyć się o poszczególne jednostki. Inaczej niepodobień-

stwem byłoby prowadzić wojnę lub wogóle cośkolwiek przedsięwziąć. Ludzi należy liczyć na kompanje i bataljony, należy myśleć o masie, nie zaś o jednym człowieku. Cóż cię obchodzi, że jednego obrabują, drugiego zastrzelą, trzeciego zgwałcą? Winienes brać pod uwagę jedynie klasę — ludzie i tak będą istnieć nadal“.

Młoda inteligencja, produkowana z chłopów i robotników, nie ma czasu na refleksje, nie nabrała jeszcze spojrzenia trójwymiarowego. Cały świat dla niej to nie geometryczna bryła, to rysunek wyłożony napłask w przerażliwie uproszczonej płaszczyźnie celowości.

— Czyż ty wiesz, co to jest las? — pyta rozżalona dziewczyna udarnika-komsomolca z brygady drwali. (Świrydow „Komsomolcy“).

— Oczywiście. Robi się z niego domy, drzewo, można używać jako materiału opałowy i dla różnych innych celów...

Dziewczyna coś mówi o życiu lasu.

— Nie należy pojmować lasu w ten sposób;

winno się wiedzieć, co można z niego uczynić i na co nam jest potrzebny.

— Jesteś bardzo nudny, Andrzeju—mówi cichutko młoda dziewczyna.

Cale życie Rosji pędzi od lasu rosnącego, w którym śpiewają ptaki, do tartaku. Przy początku pierwszej piatiletki produkcja przemysłowa stanowiła 48 proc. produkcji rolnej, przy końcu — 70 proc. Procent ludności robotniczej wzrasta z roku na rok. *Dusze ludzkie są wygięte w kabłąk pod parciem obowiązków.* „Naplewatielstwo“ jest niszczone. *Ale czy na długo?* Remont człowieka jest ważniejszy niż remont traktora. *Najbliższe lata muszą dać odprężenie, muszą zacząć budować trzeci wymiar kultury proletarjackiej.*

Wszelkie widoki są po temu. I zabawne, że to odprężenie idzie staremi szlakami, utartymi przez ludzkość. A więc — przez rodzinę. Rodzina z roku na rok coraz bardziej krzepnie w Rosji Sowieckiej. Ankieta wśród młodzieży w 1922 r. wskazuje na trwałe pozycje z jedną żoną jako ideał w 15,6 proc. od-

powiedzi, gdy ten procent w 1926 r. — 58,8. Też same ankiety wykazują rozpoczęcie życia płciowego w wieku poniżej lat 17: w 1922 — 61,3 proc., w 1926 — 39,8 proc., w 1928 — 28,2 proc.

Tylko ludzie bez przyszłości, ludzie ginącej klasy — woła bohaterka Bogdanowicza w powieści p. t. „Pierwsza dziewczyna komsomolu“ — mogli wymyśleć teorię wolnej miłości.

Nie jest to nawrót, ani odwrót. To raczej — dalszy rozwój. Wszak Lenin pisał, że „rozwiążność życia płciowego jest mieszczańska. Wymawiam sobie taki marksizm. Miłość dwojga ludzi może powołać do życia nową istotę. Młodzieży potrzebny jest w zdrowym ciele zdrowy duch“.

Czyżby „Kochany Iljicz“ nie mógł się z tem kazaniem wgramolić na ambonę w pierwszą lepszą niedzielę w pierwszej lepszej parafji?

Więc to nie nawrót, to rozwój dalszy, rozwój w wyrównaniu proletarjackiego „błędu paralaktycznego“.

Mówimy o zaniku poczucia komfortu

w znaczeniu szlachetniejszym tego słowa — cóż wiemy o poczuciu komfortu u tych mas w ustroju kapitalistycznym: mówimy o strychnulcu duchowym — cóż wiemy o strychnulcu duchowym u „lumpenproletariatu“ w czasach „normalnych“; mówimy o zaniku pierwiastka osobistej inicjatywy, opartej na dążeniu do uzyskania zysku osobistego — cóż wiemy o możliwościach osiągnięcia tego zysku osobistego po nad „Existenzminimum“ u niewolników pracy; mówimy wreszcie najprzód o rozwodrzeniu, wkrótce zaś zaczniemy mówić o zaniku miłości — a cóż wiemy o miłości u tych ludzi głębinowych świata kapitalistycznego?

Miłość jest motorem życia i służy pewnym jego formom. Gdy służy u bogatych nadwyżce po nad godziwe „Existenzmaximum“ — wynaturza się; gdy służy u nędzarzy dociąganiu do „Existenzminimum“ — wynaturza się. Miłość w „czystej formie“ jako miłość dla miłości, coś jak sztuka dla sztuki, nie istnieje jako pojęcie społeczne i ogólne — do-

tąd przynajmniej. Służy ona, jak i inne pojęcia pozornie oderwane — honor, ojczyzna, religja — konstruowaniu życia ludzkiego. Czyż można się dziwić, że skoro to życie było konstruowane ku niewoli pracy, ludzie pracy łamiąc jego formy, połamali równocześnie ich najpiękniejsze odgórne pędy. *Wiedzieli, że im trzeba „nie tego“, ale to, czego im trzeba, nowe formy, rodzą się dopiero.* Wybuch rozwydrzenia płciowego był taką samą formą rewolucji jak strzelanie na ulicach. Rychło zrozumiano, że to jest destrukcja. Wówczas, z prozelityzmem prawdziwego „*bogoiskatielstwa*“ postarano się te sprawy całkiem odsunąć na stronę. W jednej z powieści bohater odsuwa wyznającą mu miłość dziewczynę: „Jestem pewien, że to chwila przelotnej słabości i że jutro już nie będziesz pamiętać o tem“. Dziewczyna mu się podoba, nie jest zajęty inną. Ale uważa „takie sprawy“ za poniżanie się.

Kiedyś, przy wychodzeniu z teatru w Moskwie, czekałem na swoją kolej. Teatry są natłoczone do ostatniego miejsca i dlatego wy-

chodzenie partjami reguluje milicjant. Stałem pod lustrzaną ścianą wraz z tłumem młodzieży obojga płci. Zdumiało mnie, że żadna z tych młodych, gładko przyczesanych dziewcząt nie spojrzy w lustro, ogromne lustro tuż przed nią, przed którym musi zatrzymywać się kilka minut. Kto obserwował kiedykolwiek dzikie krygowanie się przed lustrami wchodzących do teatru kobiet europejskich, tego zastanović musi ten klasztorny nastrój. Ci ludzie odeszli od trujących form miłości i może myślą, że wszystko, co z nią się wiąże, jest słabością. Ale szybko dojdą do form własnych, nowych, zapewne o tyle czystszych, niż nasze, o ile ich miłość będzie więcej bezinteresowna, niż nasza, a ich uczucia... mniej obciążone niedostatecznie spalonym przez organizm psychiczny nadmiarem.

* * *

Po zburzeniu dawnych form, wraz z polepszeniem się warunków życia, maszerują ludzie

z tamtej strony barykady ku wyrównaniu proletarjackich błędów paralaktycznych.

Czy bez zburzenia tych form, wraz z pogarszaniem się warunków życia „u nas“, my idziemy ku korektywie naszych błędów paralaktycznych?

Arsciel



SPIS RZECZY

| | Str. |
|---|------|
| Odjazd torpedą czasu | 7 |
| »Ziemiak« | 21 |
| Na kapitańskim mostku | 37 |
| Miljon Wolt »Hospodi pomiluj« | 49 |
| Opierzona Rewolucja | 63 |
| Stawka na człowieka | 91 |
| Na śmiech — za wcześniej | 105 |
| Start od wielbłądziej normy | 127 |
| Plotki. . Plotki... | 145 |
| Błędy paralaktyczne | 171 |



I-10844

GŁOSY O KSIĄŻCE:

STRZĘPY EPOPEI

(1-c wydanie „Ignis“, 2-c — „Rój“).

Książkę przeczytałem z najgłębszym wzruszeniem.

Stefan Żeromski.

Prostota... Prawda... Świetna barwność stylu... Strzępy naszych własnych serc...

Wacław Sieroszewski.

Słusznie Wacław Sieroszewski w przedmowie do tej pięknej książki podnosi jej szczerotę, prostotę i majestat... Strzępem epepei są dzieje nieznanego żołnierza Pasika... Wspaniałym rycerskim rapsodem jest wyprawa i śmierć płk. Mościckiego... Opowieścią budzącą gorycz, wstyd i upokorzenie jest „Noc z 21 na 22 maja w 1-szym Korpusie Wschodnim“... Opowiadanie komendanta pancernego pociągu, Stanisława Małagowskiego, wpada miejscami w rytm pieśni rycerskiej. Prostota sięga tu wyżyn wielkiej sztuki. Posłuchajmy tylko wspaniałej rytmiki słowa... Każde słowo brzmi jak czysty śpiz. Każde słowo błyska ogniem i mieczem.

Juljan Ejsmond.

Książka... ta jest jak spowiedź żołnierza przed Bogiem, który go w nagrodę za męstwo z placu walki do nieba powołał — prosta, szczerą, śladem głębokich przeżyć nacechowana.

W. Stpicyński.

Prostota, a zwłaszcza tło psychologiczne. Koloryt gorący, pulsujący prawdą zdarzeń przeżytych...

Zygmunt Kisielewski.

Autor, szukając prawdy, znalazł przedewszystkiem piękno...

Prof. Sinko.

Jak boski dar Sienkiewicza te płody fantazji ucieleśnił prawie... To chwytnie historji na gorącym uczynku jest największą zasługą książki p. Wańkowicza.

Jarosław Iwaszkiewicz.

„Strzępy Epopei“ napewno będą czytane nietylko przez pokolenie nasze. Sięgnie po nie historyk, weźmie i wnuk ze wzruszeniem. Jest to już przecież relikwja...

Eustachy Czekalski.

Jest to jedna z tych książek, które czyta się jednym tchem, a zamyka ze wzruszeniem.

Adam Niemojewski.

Książka p. Wańkowicza jest specjalnie ciekawa dla oficera. Daje mu bogaty materiał myślowy.

Konrad Libicki.

Pan Wańkowicz umie patrzeć i odczuwać. Ostrość jego obserwacji nie pomija najdrobniejszego szczegółu. Poczucie jednak miary artystycznej podporządkowuje te szczegóły jednemu, ściśle zwartemu obrazowi. To samo daje się zauważyć i z odczuwaniem. Wszystko o czem mówi p. Wańkowicz przepełnione jest wielką mocą ukochania. A jednak ta miłość umie znaleźć swoją dominantę, umie, jak w soczewce, skupić się na pewnej idei czy zdarzeniu, by stąd dopiero rzucić pęk serdecznego ciepła na całość. Te wspomnienia wydarte „Strzępy“ wielkiej wojennej zawieruchy tworzą cykl obrazów, malowanych zdecydowaną artystyczną ręką, obrazów wywołujących swą plastyką i kolorytem mocne, niezapomniane wrażenie... Prostota opowiadania umie wyczarować głębokie wstrząsające wrażenia...

Fr. J. Gawlikowski.

W KOŚCIOŁACH MEKSYKU

(DWA WYDANIA W „ROJU“)

Dziwnie płytka książka p. Wańkowicza powinna ostatecznie zniechęcić do niego ogół katolicki.

Polak-Katolik.

Wańkowicz nadzwyczaj barwnie i z dużym talentem oddał to wszystko, co zaobserwował w Meksyku.

Nuncjusz Apostolski, Monsignor Pelerinetti.

Wywiad w belgradzkiej prasie.

Jak to Ks. Redaktor Urban pana Melchiora Wańkowicza na oślej posadził ławie.

(tytuł artykułu „Szczerbca“).

P. Wańkowicz opowiada tak żywo, tak plastycznie, że kto jego książkę weźmie do ręki, zapewne nie odłoży jej aż przeczyta do końca — jeśli mu nerwy dopiszą.

Ks. Jan Urban.

Książkę warto przeczytać, by się dowiedzieć, co myśli niezakonspirowana burżuazja.

Artur Cwikowski, Dziennik Ludowy.

Wańkowicz chciał informować, a nie pisać książkę propagandową, czy to dla tych, co po lewicy, czy dla tych, co po prawicy...

Wilam Horzyca.

Książka ta przypomina najświetniejsze karty Sienkiewiczowskich „Listów z podróży“.

Kazimierz Czachowski.

Książka niekiedy przypomina „Z ziemi Chełmskiej“ Reymonta.

Myśl Narodowa.

Nie wyrobił się u nas jeszcze typ dziennikarza, literatem podszytego i umiejącego zrobić każdą korespondencję czemś pośredniem między artykułem informacyjnym, a nowelą, lub rozdziałem powieści. Jeżeli kiedy ma u nas zrodzić się taki Barzini lub Huret, to p. Wańkowicz przepowiada ich przyjęcie donośnym głosem.

Witold Noskowski.

Autor nie deklaruje się do żadnego obozu. Stąd też wypływa powaga w traktowaniu ogólnoswiatowych czy ogólny-
ideowych zagadnień i złośliwy subtelny humor, gdy na wi-
downi jawi się polityka.

Jan Sokolicz Wrocławski.

Spojrzenia Wańkowicza mają ważny społeczny charakter. Znać na jego podejściu do zjawisk, rzeczy i ludzi, że autor jest człowiekiem o dużej wrażliwości prawnospołecznej.

Dr. Z. M. „Świat“.

Otwiera się tę książkę jak wielki zielnik, albo raczej jak pudło z rozbrzeczanymi owadami i najbarwniejszymi motylami, których olbrzymie pyszne skrzydła, powyginane w najdziwniejsze kształty, niespokojnie łopoczą o tekturowe ścianki okładki, nie mogąc się w nich zmieścić.

Anatod Stern.

Autor posiada lekkość feljetonisty i bystrość obserwatora, szybką orientację i nienasycony głód wrażeń, zainteresowania naukowca, estety, turysty i dziennikarza. W ten sposób powstała książka, ogromnie zajmująca i efektowna.

L. Konopacki.

...trochę sentymentu i bardzo, ale to bardzo dużo subtelnego humoru. Po przeczytaniu tej książki wyczuwa się, że pisał ją dziennikarz „par excellence“.

„Bluszcz“.

Pan Wańkowicz zwiedził wszystkie miejscowości, gdzie wrzała walka najintensywniej; poznał mnóstwo ludzi; rozmawiał z prezydentem, biskupami, ministrami, przemysłowcami, z ludem. Pisze świetnie, ogromnie żywo i barwnie.

„Słowo“ — Wilno.

„W kościołach Meksyku“ jest niezwykle cennym nabytkiem naszej literatury podróżniczej. Nietylko z racji talentu autora, bystrej obserwacji, dużej wiedzy. Nietylko przez opisy barwne, życiem pulsujące, lecz nadewszystko dzięki postawie bezstronnej, dzięki bezgniewnej, spokojnej, mądrej ocenie jednego z wielkich dramatów dziejowych.

...mądra i świetnie napisana książka.

Józef Wasowski.

GŁOSY O KSIĄŻCE:

SZPITAL W CICHINICZACH

Przejmujące książki Kossak-Szczuckiej, Kozickiej, Zaleskiej-Dorożyńskiej błędną jednak wobec (tej książki), straszliwej w swym skondensowanym skrócie.

W szkołach wojskowych, kędy uczą o powinności żołnierza na stanowisku, na kursach przysposobienia, w skautingu, w szkołach, musi być czytany „Szpital w Cichiniczach“, z dziennika siostry Zosi przepisana historia chwały. I powinny tym dzielnym dziewczętom salutować całe pułki i pochylić się przed nimi polskie sztandary.

Helena Romer.

Opowiadanie przejmujące i dla każdego, kto je przeczyta, pamiętne na zawsze.

Zdzisław Dębicki.

Książka ta niema ani cienia sztuczności, ani żdźbła pozy. Jakże przypomina w treści i formie proste i przeraźliwie treściwe raporty P. O. W. na kresach wschodnich.

Antoni Bogusławski.

Drugie wydanie „Szpitala w Cichiniczach“ ukazuje się równocześnie ze „Szczęściami latami“ i „Opierzoną Rewolucją“.

...beletrysta, świadomy swoich celów i środków, proza jego nabiera barwy i rytmu, a język podnosi się do wyżyn sztuki.

Zdzisław Dębicki.

Talent pisarski i temperament łączą się z wysokimi zaletami formy.

Dr. Jan Dąbrowski
prof. Wszechnicy Jagiellońskiej.

Utwory Wańkewicza mają coś z nastroju „Eroiki“ Beethovena.

Dr. Karol Górski
prof. Uniwersytetu Wileńskiego.

SZCZENIĘCE LATA


„Szczenięce lata“ dają antytezę dwóch dworów kresowych — ojczystego i matczynego. Książka, doprowadzona do wybuchu rewolucji, roztaacza obraz tak swoistego życia obyczajowego, że trudno nam, współczesnym radja i telefonji, Stalina i Hitlera, uwierzyć, że takie zakątki z tak swoiście płynącym w nich życiem, mogły istnieć jeszcze za naszej dobrej pamięci.

Zwraca uwagę faktura książki, wywodzącej się z rozlewnego staropolskiego gawędziarstwa, a przecież opartej na zwartej konstrukcji i nitowanej nieoczekiwanemi skrótami.



SZCZENIĘCE

L
A
T
A



402/63K

<http://rcin.org.pl>

JAKÓB WASSERMANN

BULA MATARI

POWIEŚĆ O STANLEY'U — II WYDANIE
NOWA SERJA „RÓJ”

Bula Matari znaczy rozbijacz skał. Ten patetyczny przydomek, nadany Stanleyowi przez murzynów, jest miarą energii podróżnika-zdobywcy, przemierzającego poraz pierwszy Afrykę od oceanu Indyjskiego do Atlantyku. Dwa i pół lat nieprawdopodobnych trudów, ciągle napięcie nerwów, ciągła groza śmierci, powolne zdobywanie rzeki Kongo, zwyciężanie katarakt, rozbijanie zagradzających drogę skał, bunt ludzi i ciągle naprzód, naprzód.

Kiedy w ostatnim dziesięcioleciu życia, już w cichej farmie pod Londynem, nawiedzają Stanleya okresowe ataki malarji, Stanley krzyczy: Afryka jest we mnie! W swym dzienniku pisze: „Czas zmarnowany staje przedemną, jak upiór i oskarża mnie. Ja muszę coś zrobić, wszystko jedno co, byle głód czynu zaspokoić w sobie“.

Życie Stanleya jest wspaniałym tematem. Sprostał mu talent Jakóba Wassermanna, poety ludzi, trawionych żądzą życia, spalających się jak pochodnie własnym płomieniem. Po głośnej powieści o Krzysztofie Kolumbie Wassermann znów dał książkę o człowieku, jakby szalonym, zapatrzonym w jeden cel.

Charakterystyczny jest wybór tematu u pisarza, którego twórczość była tak silnie związana ze współczesnością. Lecz Stanley ze swym głodem czynu, i Stanley uciekający od naszej cywilizacji w głąb Afryki, to jakby człowiek dzisiejszy gnany gorączką pośpiechu i przeklinający cywilizację, którą sam stworzył.

Może właśnie tej aktualności psychicznej „Bula Matari“ zawdzięcza swe powodzenie i obecny, drugi już skolei, nakład polskiego przekładu.

TOWARZYSTWO WYDAWNICZE „RÓJ”

30
L
10844

POLA GOJAWICZYŃSKA

ZIEMIA ELŻBIETY

N O W A S E R J A „R O J U“

Informacja o powieści Gojawiczyńskiej musi być oszczędna w słowach. Wielość pochwał byłaby sprzeczna z prostotą autorki i ze szlachetną prostotą samej powieści. Lepiej czytelnikowi zostawić niczem nieuprzedzoną niespodziankę zetknięcia się po raz pierwszy z jednym z najszczerzych talentów, jakie zjawiły się w literaturze polskiej w ostatnich latach.

„Ziemia Elżbiety“ jest książką o życiu Śląska. Jest pozor- nie regionalna, bo przecież ten ton pracy i ton afirmacji życia, jaki w niej rozbrzmiewa jest tak zasadniczym tonem ludzkiego bytowania, że zestawiano już „Ziemie Elżbiety“ z „Błogosławieństwem ziemi“ Hamsuna. I słusznie. I tu i tu pasja działania, konieczność rozprężenia sił. Jak nie może ziarno nie kiełkować na wiosnę i nie plonować w lecie, tak taka kobieta, jak Agnieszka Ligenza bohaterka powieści, nie może nie szukać bujności życia. Musi być we wszystkim, co się naokoło niej dzieje, musi wszystko łądzić. A jeśli czegoś uładzić nie podoła jak np. spadającej na miasteczko katastrofy bezrobocia, to musi współczuć całym sercem. Współczuć prosto, zwyczajnie, bez przesadnych znaków litości. Tak właśnie, jak sama Gojawi- czyńska.

U Gojawiczyńskiej tkwi jakaś tajemnica w stylu. Z poza najpospolitszych zwrotów zwykłego ciepłego odezwania się, wy- ziera ciągle:

Bracie człowieku, podaj mi ręce, przecież znamy wzajem- nie ciężar, jaki każdy z nas niesie.

I jeszcze jedno: tę książkę mogła napisać tylko kobieta, i to matka. Dlaczego? Weźcie sobie odpowiedź sami, wyczytajcie ją na kartach powieści.

TOWARZYSTWO WYDAWNICZE „R Ó J“

<http://rcin.org.pl>

I

10.844